TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XX ZESZYT 4

*

TREŚĆ

*

KRAKÓW—WARSZAWA, KWIECIEŃ 1936 R.

REDAKCJA: J. A. SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4

CENA POJEDYŃCZEGO ZESZYTU 1 ZŁ. PRENUMERATA ROCZNA 4 ZŁ.
KONTO CZEKOWE „TATERNIKA“ NR. 409.570

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Polecamy uwadze wszystkich Czytelników

1. Zarząd Klubu Wysokogórskiego urzęduje w Warszawie. Adres Klubu: Warszawa, Żórawia 9 m. 1. Tymczasowe konto czekowe P. K. O. Nr. 4000. Wpłaty na to konto należy koniecznie uzupełniać dopiskiem: „na rachunek Klubu Wysokogórskiego“.

2. Adres redakcji i administracji „Taternika“ pozostaje bez zmiany. Konto czekowe „Taternika“ Nr. 409.570.

3. Dla celów propagandowych wprowadza wydawca „Taternika“ wydatną obniżkę ceny prenumeraty i pojedyńczych zeszytów pisma. Prenumerata roczna „Taternika“ wynosi obecnie zaledwie 4 zł. Cenę pojedyńczego zeszytu ustalono na 1 zł. Zwracamy się do wszystkich przyjaciół „Taternika“ o jednanie nam nowych czytelników i prenumeratorów.

TATERNIK

ROCZNIK XX ★ KRAKÓW, KWIECIEŃ 1936 R. ★ ZESZYT 4

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

NADZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE I ZARZĄD KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO W SPRAWIE OCHRONY PRZYRODY TATR

Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Klubu Wysokogórskiego Polskiego Tow. Tatrzańskiego, odbyte w dniu 23 lutego b. r. w Warszawie — jako najwyższy reprezentant woli instytucji, czuwającej nad pomyślnym rozwojem polskiej turystyki wysokogórskiej — wyraziło swój stanowczy protest przeciw zbyt daleko idącym urządzeniom komunikacyjnym i hotelarskim w głębi Tatr Polskich, w szczególności przeciw kolejkom górskim, drogom jezdnym i hotelom. Urządzenia te są dla rozwoju turystyki wysokogórskiej zbędne, a niszczą największą wartość turystyczną Tatr, jaką jest piękno nieskażonej przez człowieka przyrody.

Zarząd Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego — upoważniony do tego przez Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie — zwraca się tedy do czynników rządowych z gorącym apelem o jaknajrychlejsze zabezpieczenie przyrody Tatr przez stworzenie w nich Parku Narodowego drogą osobnej ustawy, opracowanej w porozumieniu z państwowemi i społecznemi organami ochrony przyrody oraz z przedstawicielami Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i ludności miejscowej Podhala.

O PROGRAM EKSPANSJI POLSKIEGO ALPINIZMU

W dniu 10 grudnia 1935 r. inż. Stefan Bernadzikiewicz wygłosił na zebraniu dyskusyjnem dawnego Koła Wysokogórskiego przy Oddz. Warsz. P. T. T. referat p. t.: «Doświadczenia wyprawy kaukazkiej», poruszając przy okazji wszechstronnego omówienia tego tematu — sprawę, którą wskazuje wspólny tytuł poniżej ogłaszanych artykułów. Bardzo ożywiona dyskusja odbyla się 19 t. m. nad referatem i nad pewnemi wnioskami koreferenta (był nim Zdz. Dąbrowski), który położył główny nacisk na ogólne zagadnienie wyboru dróg przyszłej ekspansji egzotycznej Klubu Wysokogórskiego. Na ten sam temat, wyboru właściwych dróg dla polskiego alpinizmu, zainaugurowali również w dniu 28 lutego 1936 r. I. herbatkę dyskusyjną Koła Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego mgr Stanisław Groński i dr Jan K. Dorawski. Wreszcie w «Gazecie Polskiej» z dni 21 i 22 marca t. r.

obszerne na tenże temat wywody ogłosił J. A. Szczepański. Szczegóły te świadczą, że temat, któremu tu oddajemy miejsce, zawiera w sobie treść dla całości polskich zagadnień wysokogórskich aktualną i ważną. Należy jednak zaznaczyć, że artykuły poniżej drukowane mają charakter dyskusyjny i wyrażają jedynie indywidualne poglądy ich autorów. Dalszym głosom dyskusyjnym chętnie też udzielimy miejsca.

I.

Cztery dotychczasowe polskie wyprawy egzotyczne o charakterze alpinistycznym lub mieszanym nie pozostawały w stosunku do siebie w najlżejszym nawet związku przyczynowym. Nie były wynikiem żadnego obmyślanego planu, a istnienie swoje zawdzięczały — przypadkowej w gruncie rzeczy — inicjatywie prywatnej. Nic więc dziwnego, że charakteryzowała je najzupełniejsza różnorodność zadań oraz wypływające stąd różnice w wyborze terenu działania, środków, organizacji, czy wreszcie składu osobowego. Wyniki i znaczenie każdej z tych wypraw są nam wszystkim zbyt dobrze znane, aby je tu trzeba było powtarzać.

Mimo to, łączny rezultat tych wypraw należy — jak to słusznie podkreślił inż. Bernadzikiewicz — oceniać bezwzględnie dodatnio, zupełnie zresztą niezależnie od «indywidualnych» sukcesów każdej z nich. Wyprawy te — za wyjątkiem kaukazkiej, która posiadała zupełnie różny od poprzednich charakter — były skierowane bądź w tereny zupełnie nieznane, bądź też mało zbadane, z reguły zaś — zupełnie egzotyczne. Przyniosły więc bogate i różnorodne doświadczenia natury organizacyjnej i podróżniczej (niezbędne akcesorja alpinizmu w wielkim stylu), a częściowo i alpinistycznej (wyprawa w Andy: przekroczenie granic 6.000 i 7.000 m!). Pozatem—i to było wspólną ich cechą—poruszały się w terenach alpinistycznie nietrudnych. Wszystkie te wyprawy, a zwłaszcza andyjska, posiadały — poza ich niewątpliwem znaczeniem alpinistyczno-eksploracyjnem i propagandowem — cenną wartość eksperymentów, których doświadczalny materjał winien być w przyszłości należycie wyzyskany.

W chwili obecnej wyłaniają się dwojakiego rodzaju zadania Klubu Wysokogórskiego: po pierwsze — opieka nad taternictwem, z którego polski ruch wysokogórski zawsze będzie wyrastać [1]), po drugie planowy program przyszłej ekspansji egzotycznej. Jakie więc powinny być wytyczne tego programu? Innemi słowy: 1) na jakich założeniach ideologicznych ma się oprzeć przyszła polska ekspansja w wysokich górach egzotyku? 2) jaki ma być ten przyszły polski alpinizm egzotyczny i jaka ma do niego prowadzić droga?

Rozstrzygnięcie pierwszego zagadnienia jest kwestją najbardziej zasadniczą i decydującą. Klub Wysokogórski musi już dzisiaj zdecydować, co — w najszerszem tego słowa znaczeniu — ma r e p r e z e n t o w a ć polski alpinizm w egzotyku? Na jakim poziomie objektywnym alpinizm ów ma stanąć? Ku jakim terenom alpinistycznym ma zwrócić swoją ekspansję?

Kwestja jest w naszych, polskich warunkach — zupełnie jasna. Gdybyśmy dysponowali takiemi środkami finansowemi, jakie każdorazowo stają na usługi takiego np. alpinizmu niemieckiego, wolno byłoby nam nie zastanawiać się nad wyborem. Istnieje bowiem ścisła zależność między rozległością celów i środków, przyczem — i na to kładę jaknajwiększy nacisk! — łatwiej znaleźć duże środki na w i e l k i cel, niż środki mniejsze na cel, który nie dorasta do hierarchji wielkości. Chodzi mi jednak nietylko o praktyczną stronę zagadnienia. Chciałbym przedewszystkiem zwrócić uwagę na jego stronę e t y c z n ą — na to, co możnaby nazwać w potocznej mowie: uczciwym sto-

[1]) Por. artykuły w «Taterniku» — J. A. Szczepańskiego w zesz. 6 roczn. XIX-go i Zdz. Dąbrowskiego w zesz. 1 i 2 roczn. XX-go.

sunkiem do źródeł, z których będzie się czerpać środki — na to, co (mówiąc językiem bardziej zasadniczym) jest liczeniem się z pewnem *morale* naszego stosunku do społeczeństwa, skoro w naszych warunkach alpinizm egzotyczny będzie czerpał środki właśnie z funduszów publicznych — z funduszów społeczeństwa. Trzeba sobie przecież uświadomić, że my w Polsce posiadamy doprawdy zbyt skąpe środki finansowe, nawet na przedsięwzięcia o charakterze utylitarno-społecznym, abyśmy mieli prawo żądać tych środków na cele, których wartości zamykałyby się w rejonach czystego *romantyzmu gór wysokich*...

Rosja Sowiecka łoży olbrzymie środki na azjatyckie ekspedycje alpinistyczno-naukowe. Rosja Sowiecka popiera u siebie i rozwija alpinizm na niespotykaną gdzieindziej skalę. Pomijam tu cały ów bagaż socjalno-społeczny, którym alpinizm tego kraju obarczono i nia stawiam przykładu sowieckiego za argument, któryby miał dowieść, że skoro nawet państwo skrajnego (zdawałoby się) utylitaryzmu popiera to, co jest znaczenia praktycznego samo w sobie zupełnie pozbawione, to... i t. d. Zwracam natomiast uwagę na to, że w Rosji Sowieckiej potrafiono umiejętnie i z obustronną korzyścią połączyć czysty alpinizm z korzyściami natury bardziej cennej i trwałej — z n a u k ą. Alpinizm na usługach nauki! Ale alpinizm niebylejaki!

Wiem, że u nas podniosłyby się, być może, gwałtowne protesty przeciwko takiemu «degradowaniu» alpinizmu do «jakiejś» roli drugorzędnej, pomocniczej. Wiem, że usłyszę znów to, czego mi nie omieszkano powiedzieć podczas wspomnianej dyskusji, — że wartości propagandowe alpinizmu w wielkim stylu można postawić obok sukcesów na arenie dyplomatycznej; że niepodobna znaczenia tego alpinizmu mierzyć jakąkolwiek miarą utylitarną, gdyż — jak to dowcipnie zauważył inż. Stefan Daszyński — można z równą dozą słuszności udowodnić, że po polskiej wyprawie w Andy i jej szerokich echach w Anglji, eksport... bekonów polskich do tego kraju wzrósł o tyle to procent, jak i to, że eksport innego artykułu gospodarczego zmalał; że olbrzymie znaczenie posiada to, co o nas zagranicą piszą i mówią, że po wyprawach... i t. d., i t. d.

Zgoda! Wiem doskonale, że gdyby ściśle materjalny utylitaryzm był jedyną legitymacją wszelkich poczynań, trzeba byłoby zburzyć dzieła sztuki, spalić muzea i pracownie naukowe, niepoświęcone «nauce stosowanej»; że jednem słowem należałoby się pogrążyć w najciemniejszem barbarzyństwie duchowem,... lub też stworzyć «nowy wspaniały świat»... Ale nawet i w tym świecie fantazji m u s i a ł y b y znaleźć ujście aspiracje najwyższego gatunku człowieka...

Nie chodzi jednak o doktrynerstwo i utopję. Ktoś powiedział, że zdobycie Matterhornu przez Whympera było czynem, jednym z tych, po których cała ludzkość czuje się wyższą o cal. Jakkolwiek wprawdzie nie uważam, aby sukcesy dyplomacji lub zagranicznego handlu mogły być zastąpione, największemi nawet zdobyczami alpinizmu (...zatem: n i e m o ż n a zestawiać!), nie chcę, aby mi jeszcze raz zarzucono brak... romantyzmu—i dlatego powiem tu z głębokiem wewnętrznem przekonaniem, że gdy wypełni się epopeja Everestu, będąca — używając wyrażenia Teofila Gautier — przejawem «woli, protestującej przeciw ślepej przeszkodzie i na niedościgłe wyżyny niosącej sztandar ducha ludzkiego» — ludzkość istotnie poczuje się wyższą; nie o cal, ale o tysiąc cali! I słusznie wszystkie nazwiska everestowych bohaterów zapisane zostaną do złotej księgi woli i ducha ludzkiego.

Zejdźmy jednak z piedestału czystego romantyzmu! M o ż n a być romantykiem, ale l e p i e j jest być — romantykiem praktycznym. Romantyzm wielkiego alpinizmu egzotycznego zbyt wiele kosztuje p i e n i ę d z y, aby go

wolno nam było uprawiać, jak jakąś «sztukę dla sztuki». Propagandowe i prestiżowe znaczenie tego romantyzmu to jednak stanowczo zamało przy naszych, polskich możliwościach finansowych! Mówiąc zupełnie otwarcie, mamy moralne prawo do takich tylko wielkich wypraw alpinistycznych, które dadzą coś więcej ponad przemijający efekt propagandowy, lub mniej przemijające zainteresowanie kilku, czy kilkudziesięciu tysięcy alpinistów całego świata. To zaś, co w naszych warunkach dopiero usprawiedliwi w pełni romantyzm polskiego alpinizmu egzotycznego — to korzyści, jakie przyniesie on nauce! O tem, ile może skorzystać nauka, wspomagana umiejętnie przez alpinizm, zdaje się nie trzeba przypominać. Natomiast doprawdy warto sobie uświadomić, jak wiele — jak bardzo wiele ów najwyższy alpinizm zawdzięcza nauce; ile trudu całych pokoleń naukowców złożyło się na tę wiedzę przyrodniczą, z której alpinizm korzysta dziś w wielkich i nieznanych górach egzotycznych! Przyszły polski wielki alpinizm powinien — za przykładem wielkich alpinizmów: rosyjskiego, angielskiego, czy niemieckiego — dług ów regularnie spłacać. Postawi wówczas sprawę uczciwie i nie zasłuży na miano egzotycznego pasożyta. Trzeba bowiem kategorycznie to przypomnieć, że w nieznanych i naukowo niezbadanych wysokich górach cele alpinistyczne są napewno nie jedyne, nie pierwsze i dla ludzkości nie najważniejsze!!! Kto dla tych innych, ważniejszych celów nie ma zrozumienia, ten nie dorósł do zaszczytnego miana prawdziwego odkrywcy!!!

Wśród alpinistów spotykamy rozmaite indywidualności i zainteresowania rozmaitemi terenami alpinistycznemi. Nikt nie może mieć pretensji do kogoś za to, że ów ktoś woli ponad wszystko czar podzwrotnikowego egzotyzmu górskiego, ani do kogoś innego za to, że interesują go bardziej niezmierzone pustynie lodowe niewielkich gór Arktyki. To są sprawy programów jednostek. Klub, jako jednostka zbiorowa, musi również posiadać swój określony program! Nie może zadowolić się dorywczem chwytaniem tego, co pod ręką, bo nie zawsze warto się o to łakomić. Klub musi obrać pewien kierunek, który uzna za naczelny. Jaki?... Nietrudno odpowiedzieć: kierunek najbardziej wartościowy — wielki alpinizm w lodowo-śnieżnych, najwyższych górach świata! Azja Centralna, Karakorum, Himalaje — oto cele najwyższe, do których polski Klub Wysokogórski powinien konsekwentnie dążyć.

Droga do niego? Inż. Adam Karpiński oświetli ten temat obszerniej w następnym artykule. Chcę tylko podkreślić jeden nieodzowny, programowy punkt: trening lodowo-śnieżny oraz wysokościowy! Klub powinien uważać ten punkt za podstawę do rozważania w przyszłości jakiejkolwiek wyprawy treningowej. A gdy będzie mowa o jakiejś wielkiej wyprawie odkrywczej, nie będzie wolno zapomnieć o zakreśleniu jej możliwie szerokiego programu naukowego.

Wypraw treningowych nie powinno się w zasadzie obciążać żadnemi celami naukowemi, któreby hamowały pożądaną intensywność treningu wysokogórskiego. Ale w przyszłości żadna wyprawa odkrywcza nie powinna wrócić do kraju bez wykonanej przez siebie dobrej mapy (mapy! — nie szkiców), bez poważnych wyników prac meteorologicznych, glacjologicznych, czy faunistycznych, które narzucają się wprost człowiekowi, wkraczającemu w tajemnicze wnętrza gór nieznanych.

Dotychczasowe nasze wyprawy udowodniły, że tylko wyprawy z autonomicznemi, oddzielnemi grupami: alpinistyczną i naukową, wydają pożądane dla obu tych dziedzin rezultaty. Wiemy, dlaczego stosunkowo nie-

znaczne były rezultaty ściśle naukowe wyprawy andyjskiej, a alpinistyczne — wyprawy na Spitzbergen. Zeszłoroczna wyprawa w Kaukaz zbliżyła się w olbrzymim stopniu do ideału typowej wyprawy alpinistyczno-naukowej — i o tem nie wolno będzie w przyszłości zapomnieć. Oczywiście, w wyprawach odkrywczych w góry najwyższe będą m u s i a ł y przypaść pewne zadania naukowe — nawet alpinistycznym grupom szturmowym; zakres tych zadań będzie jednak stosunkowo niewielki i siłą rzeczy — uboczny (np. niektóre pomiary kartograficzne, obserwacje meteorologiczne, film i fotografja).

Dwa ostateczne wnioski ujmuję w lapidarną formę:

1) Celem polskiego alpinizmu powinny być wielkie wyprawy odkrywcze w lodowo-śnieżne, ośmiotysięczne góry Azji. Droga do nich wiedzie tylko poprzez konsekwentny trening lodowy i śnieżny.

2) Nie powinna wyruszyć pod egidą Klubu Wysokogórskiego ani jedna wyprawa alpinistyczno-odkrywcza, któraby nie posiadała na odpowiednią skalę zakreślonych celów naukowych.

Są to warunki *sine qua non* przyszłej ekspansji polskiego alpinizmu!

A gdy kiedyś może wejdziemy w upragniony okres *prosperity*, wówczas z prawdziwą radością zobaczymy alpinistów polskich zdobywających 8-tysięczne olbrzymy Karakorum czy Himalajów — i 4-tysięczne góry Afryki, lodowe cielska Grenlandji i spalone słońcem szczyty podzwrotnikowych Andów — wówczas może stać nas będzie na cele małe i wielkie. Dziś — nie! Dziś stać nas... tylko na cele wielkie!

Oddaję głos inżynierowi Karpińskiemu.

ZDZISŁAW DĄBROWSKI

II.

Uwagi zebrane w tym artykule możnaby też zatytułować «Niewczesne rozważania», bo się pojawiają wśród «szalejącego kryzysu» i w okresie, kiedy to jeszcze udostępnianie naszych własnych gór pochłania (niezawsze zresztą potrzebnie) miljony złotych...

Że jednak zawsze wolno mieć nadzieję znalezienia mecenasa, który gotów będzie przyczynić się do urzeczywistnienia dobrze obmyślonego i szlachetnego przedsięwzięcia, a z drugiej strony niedawno dyskutowano nad sprawą wypraw w Kole Wysokogórskiem Oddz. Warsz. P. T. T., więc mimo wszystko rzecz tę drukuje się — choćby tylko *pro memoria.*

* * *

W j a k i e g ó r y p ó j d z i e m y?

Himalaje i Andy, góry Alaski i Antarktydy, Ruwenzori i Alpy Nowozelandzkie wołają na nas, każde swoim, każde innym głosem. Chcielibyśmy pójść wszędzie.

Trudności dostania się do tych odległych gór (finansowe i podróżnicze) uniemożliwiają naszemu pokoleniu zwiedzanie ich pokolei.

Musimy ustalić odrazu na początku, że każda wyprawa na bardzo wysoki szczyt (powyżej 8000 m) — nawet ewentualna wyprawa p o l s k a (a nasze wyprawy są chyba najtańsze na całym świecie) — jest przedsięwzięciem kosztownem.

Jeśli chodzi o zaatakowanie wielkiego szczytu z dobrem prawdopodobieństwem powodzenia, to trzeba wyprawę zdobywczą przygotować przez wywiady terenu działań, zwłaszcza gdy szczyt leży w mało znanym obszarze. Należy wykonać mapy, znaleść najlepsze sposoby transportu do bazy operacyjnej, poznać klimat. Taktyczne wywiady wydzierają górze tajemnicę właściwego szlaku; wspinacze przywykają do wysokości (Anglicy zauważyli do-

datnie skutki aklimatyzacyjne wielokrotnego udziału w wyprawie tego samego człowieka). Rośnie skarbiec doświadczenia, wspinacz zajmuje pozycję po pozycji, aż wreszcie w którymś (może już w pierwszym, może ani w piątym) szturmie osiąga się wierzchołek.

Stąd konieczność wytrwałego ponawiania wypraw w ten sam obszar. Sądzę, że powinniśmy się porozumieć, zadecydować i ułożyć program wypraw w obrane góry. To samo zdanie podziela, jak wiem ze wspomnianej we wstępie dyskusji, wielu jeszcze kolegów.

* * *

Najszczytniejszym celem byłby oczywiście Mt Everest. Narazie jednak uważają go za swój monopol (i mają na to ważne racje) Anglicy. Póki sami nie zmienią zdania, nie możemy myśleć o tej wyprawie, która z wielu względów byłaby właśnie «do pomyślenia». Zresztą może się zdarzyć, że już w maju-czerwcu nadchodzącym wierzchołek zostanie zdobyty, co zmieniłoby z gruntu przesłanki.

Co do gór afrykańskich, australijskich i amerykańskich — nie przypuszczam, żeby warto było przedsiębrać długie podróże dla rozwiązania niepierwszorzędnych problemów wysokogórskich. Pozatem nawet pierwiastek odkrywczy nie byłby w tych wypadkach uwzględniony.

Za Antarktydą przemawiają motywy raczej naukowe niż alpinistyczne. Jest tam jeszcze dużo do odkrycia, jednak koszt wyprawy polarnej przewyższa znacznie koszty wypraw nawet w najodleglejsze góry świata, byle położone w mniejszych szerokościach geograficznych.

Pozostają góry Azji. Pamir — teren ożywionej eksploracji Rosjan, najeżony zresztą trudnościami... politycznemi. Tian-Szan, z górami do 7200 m, a więc stosunkowo nie wysoki i bardzo odległy.

* * *

Wypowiem jasno swe zdanie: nasza wyprawa, jeśli ma obudzić większe zainteresowanie w społeczeństwie (a bez tego trudno uzyskać konieczne środki), musi mieć cel wielkiej miary, a więc zdobycie jakiegoś poważnego szczytu, w każdym razie wyższego od 8000 m. Dlatego chciałbym skupić uwagę jedynie na pasmach Himalajów i Karakorum.

Olbrzymy himalajskie są dobrze opancerzone przez przyrodę. Tylko nieliczne z nich okazują pewne słabsze punkty, skrzętnie wykorzystywane przez człowieka. Należą tu Everest, Kanczendzönga i Nanga Parbat. Każdemu z tych szczytów złożono już ofiary w ludziach — dotychczas napróżno. Do dwóch ostatnich stosuje się również uwaga, uczyniona wyżej w stosunku do Everestu: nie wchodźmy nieproszeni w drogę narodowi, który z wytrwałością i poświęceniem walczył od początku na śniegach tych gór.

Wszystkie pozostałe szczyty ponad 8000 m są pod względem alpinistycznym prawie nieznane. Te, które można oglądać na fotografjach (np. Makalu, Lhotse) wydają się zupełnie niedostępne. Zapewne są niemi naprawdę, gdyż dotychczas nie zainteresowały himalajczyków. Są też szczyty, o których nic nie wiemy, bo leżą na niedostępnem dla podróżników terytorjum Nepalu (np. Gurkha 8125 m, Gosainthan 8015 m).

* * *

Jest jednak jeden szczyt, niebylejaki i o wspaniałej budowie, w wysokości ustępujący tylko Everestowi; szczyt, który nie wyklucza możliwości założenia szlaku wejściowego.

Mówię, jak wiemy, o najwyższem wzniesieniu Karakorum: K 2 (8610 m).

Położony na północ od lodowca Baltoro, nad basenem lod. Godwin Austen'a, jest izolowany głębokiemi przełęczami (od W przełęcz Savoia 6666 m, od E przeł. Windy Gap 6233 m) od swych o wiele niższych sąsiadów. Na znanej jedynie stronie południowej wysyła 3 granie w kierunkach W, SE i NE; są one stosunkowo krótkie i strome. Przedstawia się jako kształtna piramida, której zbocza zalegają lodowce.

Dwukrotnie mierzyli się alpiniści z tą górą, aczkolwiek bez wielkiej siły przebojowej; cofali się nie przeświadczeni o niemożliwości wejścia.

1. W roku 1902 atakowała szczyt wyprawa Oskara Eckenstein'a. Próbowano grani SE i NE. Zwłaszcza ta ostatnia, wyglądająca przystępniej, była celem dwuch ataków, które jednak nie dotarły nawet do przełęczy w grani. O odwrocie rozstrzygnęły nie trudności terenu, proszę zauważyć, lecz niedyspozycja wspinaczy. Największa wysokość osiągnięta: ok. 6700 m.

2. Ludwik Książę Abruzzów wyprawia się w roku 1909 w Karakorum, aby osiągnąć możliwie dużą wysokość. Zdobycie K 2 nie jest jego szczególnym celem. Przewodnicy Brocherel'e próbują grani SE, lecz cofają się spowodu kruchej skały. Wyprawa bada stronę W masywu i nie znalazłszy dogodnego szlaku stara się zajrzeć na stronę N ze zboczy Staircase Peak. Dalszych prób nie robiono, znajdując jako łatwiejszy cel Bride Peak (7654 m), gdzie też osiągnięto wysokość 7498 m — rekord poprawiony dopiero na Evereście.

Wyniki tamtych wypraw, choć tak nieznaczne w sensie torowania drogi na K 2, pozwalają przypuszczać, że nowoczesna wyprawa, bogata w doświadczenia, rozporządzająca ulepszoną techniką i wyposażona w należyty ekwipunek, może osiągnąć na K 2 poważne sukcesy.

* * *

Namawiam na K 2: Góra olbrzymia, obronna, więc tem większa chwała dla narodu, który na niej walczy. Nawet po osiągnięciu wierzchołka Everestu będzie pierwsze wejście na K 2 liczone do wielkich czynów.

Co przemawia za wyborem tego szczytu?

1) Dobrze zbadane podejście; ustalona droga transportów ze Srinagaru przez Askole do lodowca Baltoro.

2) Względna znajomość klimatu tej części gór.

3) Pewne, choć skromne wiadomości alpinistyczne co do masywu.

4) Istnienie całej plejady mniejszych szczytów wpobliżu K 2 — mogących stanowić teren właściwego treningu, poprzedzającego atak główny.

5) Bogate pole dla działalności naukowej, zwłaszcza dla glacjologów, meteorologów i geologów.

6) Wspaniała scenerja górska — niewyczerpane źródło pracy dla malarzy, fotografów i filmowców.

Są też, jak zawsze i wszędzie, ujemne strony: Przedewszystkiem to, że niewiadomo czy wogóle znajdzie się szlak na wierzchołek. Jest zwiększone ryzyko, konieczny element każdego wielkiego działania. Chodzi tylko o to, by nie wyjść z granic r o z u m n e g o r y z y k a; to też nie proponuję wcale wyprawy na turnię Mustagh, niedalekiego satelity K 2, owego gigantycznego obelisku, znanego z fotografji Selli.

Pozatem — długa podróż karawaną: około 380 km. Jest to niechybnie przykre i zwiększa trudności przygotowań, lecz są góry (np. Everest), do których podejścia są jeszcze dłuższe. Wreszcie wielki koszt wypraw (conajmniej jednej treningowej i jednej zdobywczej)[1]) wynikający ze znacznej ilości

[1]) W pierwszem przybliżeniu oceniłbym koszt obu wypraw na sumę 500.000 zł.

wspinaczy, niezbędnej według mnie do planowego zdobycia każdego wielkiego szczytu (co postaram się wykazać w osobnym artykule). Na ten wielki koszt niema żadnej rady. Albo zdobędziemy środki, to ruszymy na wspaniałą wyprawę, albo nie — to będziemy szukać zapomnienia w namiastkach.

Wyliczone tu plusy i minusy wyprawy na K 2 przedstawiam braci taternickiej do osądzenia.

Namawiam z całym rozmysłem. Wiem, że Polacy mogą robić wielkie rzeczy — tylko musi przed nimi stać wielki cel.

Pierwszą rzeczą — odrzucić, wyzbyć się «inferiority complex», do czego, przypuszczam, mamy już prawo; następną — działać z dobrą wolą i wiarą we własne siły.

Adam Karpiński

III.

Jeżeli chcę się już obecnie wmieszać w tak zgodny (ale tylko pozornie!) dwugłos Zdz. Dąbrowskiego i inż. Karpińskiego, to dlatego, że uważam, iż należy odrazu, ze stanowiska teorji, historji i założeń alpinizmu, uzmysłowić ogółowi polskich wysokogórców, czego mogą się faktycznie od polskiego alpinizmu spodziewać i ku czemu w istocie ów alpinizm zmierza. Postaram się mówić możliwie krótko.

Co jest właściwym celem alpinizmu? Zdobywanie wysokich gór. Zdobywanie to było zrazu jednotypowe, «klasyczne». Ale już przed pół wiekiem rozdzieliło się w dwa wielkie kierunki: alpinizmu sportowego i alpinizmu egzotyczno-odkrywczego.

My alpiniści, oba te kierunki musimy uważać za równouprawnione i doceniać wyniki i zdobycze obu. Dla nas, alpinistów, akrobatyczne zwycięstwo nad najgroźniejszym urwiskiem skalnych Alp powinno być, w zasadzie, równie cenne jak podbój nieznanych Gór Księżycowych. W panteonie dziejów alpinizmu niemniejszą glorją błyszczy nazwisko skalnego pioniera, Preussa, co światowego eksploratora, Księcia Abruzzów. Dla nas, alpinistów, pokonanie ścian Matterhornu jest takim samym etapem jak rekord wysokości na Kamecie. Z tego, ogólnego w alpiniźmie, punktu widzenia, znacznie większy rozgłos zdobyły sobie np. w 1935 r. zwycięstwa na ścianach Jorasses lub Kaukazu, niż technicznie łatwe wejścia angielskich alpinistów na Kartafu i Pumori w Himalajach.

Dla alpinistów polskich ideałem byłoby oczywiście współdziałanie z alpinizmem światowym na obu polach jego ekspansji. Nasze sukcesy w Alpach Francuskich z jednej strony, a cała eksploracyjna działalność roku 1934 z drugiej — udowodniły, że mamy wszelkie prawo uważać się za obustronnie uzdolnionych. Niestety, na przeszkodzie realizacji ideału stają, jak najczęściej, twarde warunki rzeczywistego życia.

Bez pomocy czynników pozaalpinistycznych — zarówno społeczno-turystycznych, jak i bezpośrednio państwowych — rozmach alpinizmu polskiego załamuje się natychmiast. Nawet treningowe wyjazdy w Alpy może Klub Wysokogórski organizować jedynie przy pomocy zzewnątrz.

Rzecz prosta, jeżeli państwo czy organizacje obywatelskie finansują wyprawy alpinistyczne — mają swoje własne cele na oku. Cele te są natury propagandowej oraz naukowej.

Cele i ideały alpinistyczne muszą zatem szukać jakiegoś *modus vivendi* z owemi celami, narzuconemi im zzewnątrz. Sposoby te znajdują się względnie łatwo. Alpinizm polski ogranicza się w swoich czystych celach alpinistyczno-sportowych oraz zgadza się na udział elementu naukowego w swoich wyprawach.

Z tą chwilą, kierunek ekspansji jest jasno wyznaczony: ma ona zwracać się tam, gdzie pozostały jeszcze niezdobyte, nienazwane i nieznane góry, przy których eksploracji mogą do znakomitych wyników dojść owe założenia propagandowo-naukowe a zarazem podstawowe zadania alpinizmu odkrywczego.

Jeżeli teraz spojrzymy z tego punktu widzenia na dotychczasową drogę alpinizmu polskiego, nie dostrzeżemy w niej bynajmniej przypadkowości, ale, przeciwnie, daleko idącą planowość, i nader trafny wybór celów. Wyprawy te organizowano bardzo świadomie po linji praktycznych możliwości pionierskiej drogi odkrywczej. Alpy były najbliżej, tanie, dały pierwszy rozgłos sportowy, dały trening gór wyższych niż Tatry, były jedynym logicznym startem. Wyprawa w Andy wyznaczyła cel zupełnie pierwszorzędny, a możliwy do osiągnięcia bez osobnego treningu, wyzyskała pozatem nieocenioną okazję bezpłatnego przejazdu do Argentyny. Wyprawy na Spitsbergen i w Atlas otwarły dwie dalsze drogi: eksploracji polarnej oraz eksploracji tropikalnej. Były tanie, względnie bliskie i «praktyczne». Ale ponieważ wiadomo, że np. wyprawa w Atlas doszła do skutku w miejsce pierwotnie projektowanej przezemnie wyprawy w Góry Księżycowe (na którą zabrakło pieniędzy) — spytał ktoś, czy nie kryje się poza niemi filozofja Lopka: «gdy się niema co się lubi, to się lubi co się ma»? Otóż nie. Skoro bowiem raz stanęliśmy na stanowisku alpinizmu eksploracyjnego, musieliśmy też przyjąć jego założenie, że z punktu widzenia alpinizmu odkrywczego większą ma wartość eksploracja nieznanych Gór Piłsudskiego na Spitsbergenie czy pasm Ait Attik i M'Gun we Wschodnim Wysokim Atlasie, niż najwspanialsze choćby sukcesy w Alpach, obojętne: europejskich czy nowozelandzkich.

Z tego samego powodu należało w pełni docenić projekt wyprawy w Taurus. Nie zdołano go urzeczywistnić (spowodu zdumiewającego oporu czynników tureckich), ale jego cele były dla nas b. cenne: eksploracja gór prawie nieznanych, połączona z poważnemi zamierzeniami naukowemi.

Ale co potem, co dalej? Zarówno inż. Karpiński jak i Zdz. Dąbrowski — a dodam, że tegoż zdania był i w Krakowie S. Groński — widzą dla alpinizmu polskiego jeden cel: Himalaje. Inż. Karpiński jest konsekwentny: obchodzi go tylko «czysty» alpinizm, wyznacza mu jako jedyną drogę eksplorację gór najwyższych, żąda śmiało pół miljona złotych na sfinansowanie wyprawy, stawia program przemyślany szczegółowo i rzetelny. Rozumiem go, przyznaję mu pełną słuszność z jego abstrakcyjnego stanowiska — popierałbym go z całych sił, gdybym wierzył w możność spełnienia jego ideału. Nie przeczę, że w Himalajach znajdują się cele dla alpinizmu największe. A jednak nie przyłączam się do zgodnego chóru.

Szturm na 8-tysięczne olbrzymy himalajskie wymaga osobnej wyprawy przygotowawczej, wymaga olbrzymich kosztów i jednostronnego celu. Dlatego dziwi mnie niekonsekwencja Z. Dąbrowskiego, który — choć choruje na *Minderwertigkeitsgefühl*, podkreślając, że w wysokich górach cele alpinistyczne są dla ludzkości ani pierwsze ani najważniejsze — jednak gardłuje za wyprawą w Himalaje, w której przecież wszelkie cele naukowe musiałyby być całkowicie podporządkowane celom alpinistycznym. Jeżeli łupem wyprawy miałby się stać istotnie olbrzym 8-tysięczny, musianoby ku niemu skierować sto procent wysiłków, chyba, że Z. Dąbrowski wierzy, iż moglibyśmy w Himalaje wysłać ekipę złożoną ze stu osób, jak to czynią Rosjanie na Pamirach. O taki optymizm jednak go nie posądzam.

Inż. Karpiński wierzy zato w mecenasa, który sfinansuje wyprawę. Zazdroszczę mu tej wiary. Zapewne, gdyby jakiś hojny mecenas sypnął na ten cel groszem — sprawa byłaby rozwiązana. Ale ponieważ trudno liczyć na

mecenasów, musimy się trzeźwo zapytać, kto inny może dać potrzebne pieniądze?

Państwo docenia dziś całkowicie wartość nawet *porażek* w międzynarodowych zawodach sportowych, i na wyprawy zagraniczne sportowców łoży znaczne sumy. Sport ma dziś propagandowo tak duże znaczenie, że może się nawet obejść bez jakichkolwiek podbudówek. Tembardziej sport przestrzeni, którego trwałe sukcesy wyróżnia się coraz korzystniej w porównaniu z przelotnemi sukcesikami sportu boiskowego.

Pomijając ewentualne, a mocno akademickie, rozważania na temat zasadniczej słuszności czy niesłuszności tego zjawiska — musimy zatem stwierdzić daleko idącą wartość triumfów sportowych dla narodu i państwa. Dlatego niesłusznie wydaje się Z. Dąbrowskiemu, że alpinizm ma etyczne prawo korzystania z subwencyj państwowych tylko pod lichwiarskiemi warunkami. Chyba nikt nie zaprzeczy, że pieniądze, włożone np. w polską wyprawę w Góry Smocze (umyślnie wymieniam cel, którego nie propaguję) bardziej się «opłacą» niż np. pieniądze wydawane na udział w olimpjadach. A przecież wszyscy przyznajemy, że obecność drużyn polskich na wielkich, międzynarodowych pokazach sportu boiskowego jest nietylko wskazana, ale niezbędna. «Czasy dzisiejsze».

To też państwo popiera dziś i zagraniczne wyprawy alpinistyczne. Państwo ma osobne środki do dyspozycji na propagandę turystyczną i środki te zużywa celowo, jeśli popiera wyprawy alpinistyczne, które są tak bezspornie dobrą propagandą. Lecz połowy miljona złotych państwo na wyprawę alpinistyczną nieda i trudno byłoby o nią nawet prosić właśnie w czasach dzisiejszych.

Wydaje mi się zatem (niestety), że Himalaje są obecnie poza możliwościami polskiego alpinizmu. Czy znaczy to jednak, że alpinizm ten powinien zawiesić swą działalność aż do czasu zebrania owego legendarnego pół miljona?

Z. Dąbrowski napisał bardzo trafnie, że ze wszystkich dotychczasowych wypraw «doświadczalny materjał winien być w przyszłości należycie wyzyskany». Ku temu właśnie powinien zmierzać program pozytywny, który — o ile o mnie chodzi — przemyślałem i rozwinąłem niedawno na łamach «Gazety Polskiej». Streszczam go:

Z wyprawy spitsbergeńskiej powinna powstać nowa wyprawa polarna, większa i śmielsza; cel pierwszorzędny otwiera się dla niej na Grenlandji. Z wyprawy atlasowskiej powinna wyróść wyprawa w góry wnętrza Sahary, w Hoggar i Tibesti; jak Grenlandja na Arktydzie, tak górskie wnętrza Sahary w Afryce, są dziś najmniej znanemi obszarami w «swoich» częściach świata, i zarówno cele eksploracyjno-alpinistyczne jak i naukowe byłyby w nich na wysokim poziomie. Z wyprawy andyjskiej powinna rozwinąć się nowa wyprawa andyjska; gniazda Ansilta, Tres Cruces, Totoras, Patagonji i w. i. stoją do dyspozycji, znowu góry niezdobyte i nieznane, wspaniałe i wysokie.

Koszt wyprawy saharyjskiej obliczam na ok. 35 tys. zł. Na 30 tys. zł. należy liczyć koszty nowej wyprawy andyjskiej (uwzględniając możliwości bezpłatnego przejazdu przez ocean). Zdaje mi się, że również wyprawa polarna zmieściłaby się dobrze w budżecie 40—50 tys. zł. A więc sumy zupełnie możliwe do uzyskania, a wyniki — w razie powodzenia, o którem nie powinniśmy wątpić, zważywszy doświadczenia 1934 r. — byłyby równe wielkim zdobyczom alpinizmu światowego.

Na szczycie tej drogi widzę już teraz cel, który nie waham się postawić w alpiniźmie w rzędzie pod każdym względem największych: eksplorację lodowcowych gór Nowej Gwinei. Ale o tych ambicjach i marzeniach już innym razem.

Powtarzam zatem: celem alpinizmu odkrywczego jest zdobywanie nieznanych gór. Coraz mniej takich gór na kuli ziemskiej, to też o pozostałe toczy się coraz szybszy wyścig. W wyścigu tym Polacy wzięli już raz sprawny udział, powinni tedy pójść dalej drogą przez siebie obraną. Konkretne cele należy tu widzieć w eksploracji Andów, gór Sahary i Grenlandji. Celów tych nie chcę w tej chwili szeregować według ich ważności i wartości, gdyż jest to temat do osobnych rozważań. Bezspornie jednak każdy z nich za niskie, wprost minimalne, koszta daje szanse osiągnięcia prawdziwie wielkich zdobyczy. Potem pomówimy o Nowej Gwinei. J. A. SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKI O POLSKICH WYPRAWACH ALPINISTYCZNYCH

Te knjige so rezultat alpinističnih in znastvenih ekspedicij poljskih planincev, ki so si s svojo žilavostjo in svojim znanjem znali v zadnjih letih priboriti odlično mesto v krogu svetovnih alpinistov. Potrebno je, da se s temi knjigami seznanimo ter iz njih črpamo pouka in pobude za svoja lastna planinska podjetja.

Dr. A. Brilej w «Planinskim Vestniku» z marca 1936 r.

KONSTANTY NARKIEWICZ-JODKO: W walce o szczyty Andów. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1935. Str. 240, 32 plansz fotograficznych w opracowaniu graficznem atelier Girs-Barcz, 4 mapy.

Spośród wypraw, które stanowią przejaw ekspansji polskiego alpinizmu w egzotyk, wyprawa w Andy z r. 1933/34 zajmuje miejsce wyjątkowe. Przedewszystkiem była to wyprawa o charakterze pionierskim, która po raz pierwszy wyprowadziła polski alpinizm poza Tatry i Alpy — i to odrazu w góry wysokie, najwyższe poza Azją. Z drugiej strony trzeba stwierdzić bezstronnie, że żadna z późniejszych wypraw ściśle wysokogórskich, zorganizowanych w Polsce, nie miała w takim stopniu znaczenia odkrywczego, jak właśnie wyprawa andyjska. I jeśli alpinizm polski zmierzać ma ku górom najwyższym — ku Himalajom, to andyjski rekord wysokościowy jest narazie tym pierwszym — jeśli chodzi o wysokość — dotychczas nieprzekroczonym stopniem.

«W walce o szczyty Andów» jest książką, która w sposób zupełnie zdecydowany potwierdza tezę o wyjątkowej wartości wyprawy andyjskiej. Świadomość znaczenia wyprawy przebija z każdej stronicy tego wspaniałego, wprost albumowego wydawnictwa. Nawskroś odkrywcza ideologja autora, ideologja, którą nazwać można anty-akrobacyjną, anty-zawodniczą — ba! może nawet anty-sportową, mimo powtarzanego kilkakrotnie słówka «rekord», — skoncentrowana jest najbardziej zwarcie w rozdziale wstępnym p. t. «Człowiek i góry». Ale dr. Narkiewicz pozostał wierny swemu nastawieniu przez cały ciąg książki. I może właśnie dlatego — projektodawca, organizator i kierownik wyprawy — tak mało miejsca udziela swojej osobie. Raczej przeciwnie. Aby książka miała charakter jaknajbardziej dokumentalny, dał dr. Narkiewicz oryginalne opisy uczestników tych wejść szczytowych, w których osobiście udziału nie brał (o Mercedario piszą Karpiński i Osiecki, o Alma Negra i Mesa Dorawski).

Dr. Narkiewicz pisze z dużym talentem narracyjnym, barwnym i bogatym językiem; ujmowanie opisywanych tematów uderza czytelnika swoją śmiałością i narzucającym się momentem wszechstronnej spostrzegawczości autora. Na treść książki złożyły się poprawione i uzupełnione kilkoma tylko fragmentami artykuły, drukowane w swoim czasie w «Gazecie Polskiej». Ale wśród tych fragmentów odnajdujemy taki majstersztyk, jak opis zejścia z Aconcagua... Przyznajmy: tak szczerze, tak otwarcie o swoich przeżyciach górskich nie pisał w polskiej literaturze alpinistyczno- taternickiej bodaj że nikt! Ten opis (może właśnie przez to, co wyżej nazwałem «anty-sportowością« autora) obrazuje doskonale, jakie maximum wysiłku woli i hartu ducha wykrzesać może człowiek, mimo chwilowej słabości ciała.

Względy wydawnicze uniemożliwiły całkowite opracowanie rezultatów wyprawy. Dyktatura wydawcy-przedsiębiorcy jest w naszych warunkach zawsze bardzo bezwzględna. Cały szereg cennych doświadczeń wyprawy nie został wobec tego ogłoszony w książce, z wyjątkiem danych o ekwipunku, opracowanych przez inż. Karpińskiego. «Dyktatura» ta miała jednak i dobrą stronę: szata zewnętrzna

książki stawia ją conajmniej na równi z analogicznemi wydawnictwami zagranicznemi. Reprodukcje rotograwjurowe z retuszowanych powiększeń oryginałów dostosowano do dużego formatu książki. W paru wypadkach retusz wpadł jednak nieco w przesadę, a załączone mapki są niestety chybione, zarówno pod względem artystycznym jak i fachowym. Pewne nieścisłości wynikły z winy autora, np. uwaga na stronicy 12-ej, że Andy »są drugiemi co do wysokości górami na świecie», ale są to drobnostki wobec faktu, że książka dr. Narkiewicza jest jak dotąd najwybitniejszą pozycją w naszej wcale już bogatej literaturze wysokogórskiej.

JÓZEF ORENBURG

WIKTOR OSTROWSKI: Na szczytach Kordyljerów. *Wspomnienia z polskiej wyprawy naukowo-alpinistycznej w Kordyllera(?) de los Andes.* Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Warszawa-Lwów 1935. Str. 160 (Wydanie popularne, ilustrowane 30 odbitkami ze zdjęć autora).

Jeśli alpinizm polski ma być dla Polaków czemś bardziej zrozumiałem, niż «tajemnica» stosunkowo nielicznego grona turystów wysokogórskich, — jeśli ma stanowić dla publiczności polskiej coś więcej, niż sporadyczne wydarzenie urozmaicające kanikulę letnią na łamach dzienników i magazynów ilustrowanych, — to droga do tej głębszej i szerszej roli, jaką chcielibyśmy, by alpinizm nasz odgrywał, wiedzie poprzez właściwe trafienie do serc i do umysłów młodzieży. Nie znaczy to, abym chciał obniżać znaczenie wszelkiej, innego rodzaju propagandy w słowie i piśmie. Chcę jednak przypomnieć, że publiczność polska — zwłaszcza dzisiaj — zapala się do pewnych zjawisk rzadko i na krótki okres czasu. Chcę tylko zwrócić uwagę, że jeśli pragniemy dla idei alpinistycznej pozyskać w Polsce szersze grono entuzjastów — choćby tych «biernych» entuzjastów, których głos stanowi jednak istotny *vox populi* — to cel ten osiągniemy najwłaściwiej poprzez popularne wydawnictwa książkowe, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla młodzieży. Urok i wartości niecodziennego czynu najżywiej odczuwa młodzież; gdy stare pokolenie Polaków jeszcze nie pozbyło się wszystkich miazmatów niewoli, młodzieży najłatwiej wytłumaczyć, że Polska — to bynajmniej nie ciasne podwórka dla domowych płaczek, stetryczałych filistrów, lub handlarzy własnej niemocy. Młodzież najlepiej zrozumie prawo Polaków do własnego czynu odkrywczego i dlatego — jeśli dziś trafimy z ideą alpinistyczną do młodych serc i do młodych umysłów, to chyba nie spotkamy się w przyszłości z publicznem zaatakowaniem alpinizmu w imię tych, groteskowo-tragicznych haseł poniżania własnych wartości, w imię których niewątpliwie w jesieni ub. r. wystąpiło przeciwko polskim wyprawom alpinistycznym jedno z pism wileńskich.

Wbrew temu, co mógł sobie pomyśleć ten i ów czytelnik, cały ten długi «wstęp» jest organiczną częścią omówienia książki Ostrowskiego; najwłaściwszy bowiem sens tej książki polega na tem, co w owym «wstępie» napisałem. «Na szczytach Kordyljerów» jest zresztą wydawnictwem, którego zalety popularyzacyjne bardzo umiejętnie (nie wiem, czy było to świadomą intencją autora?) łączą się z wartościami natury rzeczowej. Jest bowiem książka Ostrowskiego nietylko opowiadaniem, obrazującem w sposób najbardziej szczery, bezpośredni i bezpretensjonalny (czasem może nawet... zbyt bezpretensjonalny) dzieje wyprawy polskiej w Andy. Zamieszczając w ramach popularnej książki zwięźle ale dość wyczerpująco ujęty materjał specjalny — czy to w formie osobnych rozdziałów (jak np. «Przygotowania i ekwipunek»), czy to wtrąconych w tekst informacyj fachowych czy nawet szkiców i mapek (dr. Dorawskiego), — jednocześnie przedstawił autor stosunkowo dokładne sprawozdanie rzeczowe z wyprawy. Posiada owa książka i niedociągnięcia; w ramach tych jednak zadań, jakie będzie spełniać, niedociągnięcia mają minimalne znaczenie. Może najbardziej rażą różnego rodzaju usterki językowe (jedna z nich już w podtytule!) oraz używanie takich określeń jak «carggletscher» (niem. *Kargletscher*) lub «bergsteigery». W każdym razie pośród trzech, wydanych ostatnio przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych, książek alpinistycznych, «Na Szczytach Kordyljerów» bodaj najlepiej spełniać będzie zadania, podkreślone we wstępnych rozważaniach niniejszego artykuliku.

ZDZISŁAW DĄBROWSKI

WANDA BORUDZKA: Polacy na szczytach Andów. Warszawa 1935. Nakładem Światowego Związku Polaków z zagranicy. Str. 71.

Broszurka powyższa stanowi pośród dotychczasowej polskiej literatury andyjskiej niewątpliwie humorystyczne intermezzo, choć napewno autorka powodowała się najlepszemi chęciami. Dobre chęci oczywiście nie wystarczyły do napisania — nawet popularnej broszurki. Na każdej niemal stroniczce spotykamy w niej bowiem komiczne błędy, świadczące o najzupełniejszej nieznajomości tematu. Wybieram kilka najweselszych. Autorka informuje czytelnika, że «alpiniści nasi zdali egzamin w Alpach i przebyli grań Perepet, oraz trudną ścianę, Meję», że «w Gdyni

nasi podróżni dzielą się na 2 grupy: jedna jedzie na Marsylję druga na Londyn...», że w Ramadzie wznoszą się szczyty «P i c o N e g r o» i «A l m a N e g r o» i t. d. Wstęp jest groteskowo-patetyczny, «interesująca» całość upiększona ciekawemi motywami patosu, emfazy i bardzo taniego patrjotyzmu: «sześciu Polaków zgłębia tajemnice wiecznych śniegów! Nie boją się jesiennych burz!... podobni są starożytnym bohaterom, prawdziwi panowie stworzenia!... Cała Polska zgodnie bijąca tysiącem serc oczekiwała wieści o losach pionierskiej wyprawy. I oto posypały się pochwycone błyskawicznie antenami radja, kablem telefonów, drutami telegrafów, bliskie odtąd Polsce nazwy zdobyte, pokonane, przemierzone nieludzkim wysiłkiem... to Polska przemierzyła okaleczałemi w wysiłku stopami strome górskie szlaki, przed któremi cofali się półdzicy pasterze, których nie widziała lama, ani nie obleciał kondor nieustraszonem skrzydłem». I t. d. Rzeczowość stoi na odpowiednio wysokim poziomie. Wszystkich kwiatków nie można oczywiście na tem miejscu omówić, radzimy jednak nabyć tę tanią (cena tylko 50 gr.) broszurkę wszystkim zbieraczom osobliwości wysokogórskich. Z. D.

JAN A. SZCZEPAŃSKI: W ś n i e g a c h i w s ł o ń c u A f r y k i. Two wydawnicze «Rój», Warszawa 1935. Str. 310 i 22 ilustracje.

Książkę J. A. Szczepańskiego o Marokku i polskiej wyprawie w Wysoki Atlas brałem do ręki, wyznam szczerze, z dosyć różnorodnemi uczuciami. Ciekawiła mnie, jako pierwsza książka człowieka o dużych ambicjach literackich — jako ich sprawdzian, a obawiałem się równocześnie tak zwanej «piły»: jeszcze jeden grubawy tom, przepełniony opisami wspinaczek i nieodzownej reklamy «wyczynów». Wyznaję, że rozczarowałem się mile.

Książka napisana gładko — a nie mdła, z dużem zacięciem literackiem i umiejętnością bezpośredniego podejścia do przedmiotu, tak, że bierze swą treścią każdego, nawet nie alpinistę. Doskonale zachowany umiar opisów wypraw górskich, wplecionych zgrabnie w treść ogólniejszą a ciekawą. Reklamy wyczynów niema. Mimo to, zręczny opis daje jasny i wyraźny obraz działań, trudów i wysiłków wyprawy, nie pomijając żadnego sukcesu. Słowem — dobra książka alpinistyczna.

Książka składa się jednak właściwie z dwóch odrębnych części. Druga część to obszerne refleksje podróżnicze o samem Marokku, o kraju i ludziach. To też omawiając tę książkę, trzeba stale o tem pamiętać. Dodajmy, że autor bardzo umiejętnie i szczęśliwie rozwiązał problem związania dwóch tematów w całość Jak mówiłem wyżej, część alpinistyczna zawiera wiele bardzo ciekawych spostrzeżeń ogólnej natury, to też przejście z tematu w temat odbywa się stosunkowo nieznacznie. Zaletą drugiej części — podróżniczej — jest dobre uchwycenie omawianych spraw. Lekturę podróżniczą lubię specjalnie i znam ją dobrze. Otóż zauważyłem — bez specjalnego szowinizmu narodowego — że przeciętnie biorąc, polska literatura podróżnicza, opisując widziane kraje, ujmuje rzecz głębiej, bardziej po ludzku, bardziej wnikliwie w istotę zjawisk, opisy zaś podróżnicze literatury zachodnio-europejskiej grzeszą przeważnie (podkreślam słowo: przeważnie) pewną płytkością, a zwłaszcza, mówiąc o ludziach, dany kraj zamieszkujących, traktują rzecz bardzo powierzchownie. Polskie natomiast opisy podchodzą do tematów podróżniczych z dużem przemyśleniem tematu i zwracają baczną uwagę na podłoże psychiczne ludności miejscowej i wynikłych stąd zdarzeń i objawów, a to jest przecież najciekawsze. Książka «W śniegach i w słońcu Afryki», mimo braku doświadczeń podróżniczych autora, nosi właśnie te dodatnie cechy literatury podróżniczej polskiej, i należałoby sobie życzyć, aby autor mógł zdobyć nowe przeżycia i wzbogacić nasz dorobek literacki nowem dziełem.

Na podstawie tej książki mamy prawo sądzić, że polskiej literaturze przybywa dodatnia pozycja i po pierwszych doświadczeniach, z tem większem zainteresowaniem oczekiwać będziemy dalszych książek J. A. Szczepańskiego.

Wadą technicznego układu książki jest brak mapki terenów zwiedzonych. Brakowi temu nie może zapobiegać «Taternik», który, przeznaczony dla szczupłego grona osób, nie dotrze tam, gdzie dociera książka. BOHDAN MAŁACHOWSKI

BOLESŁAW CHWAŚCIŃSKI i JUSTYN WOJSZNIS: W ś r ó d g ó r M a r o k k a. *Wspomnienia z wyprawy wysokogórskiej*. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Warszawa-Lwów 1935. Str. 160. 23 fotografje poza tekstem i 2 mapki.

Literatura podróżnicza w Polsce aż do niedawna nie była zbyt obfita. Ostatnie lata dopiero przyniosły znaczne ożywienie w tej dziedzinie. Jestto zupełnie zrozumiałe. Zorganizowanie w ciągu kilku lat ubiegłych takich wypraw, jak wyprawa w Andy, na Spitsbergen, w Atlas i na Kaukaz, nie wspominając już o innych prywatnych imprezach musiało się odbić i na literaturze. Zaczęły się ukazywać wszelkiego rodzaju zapiski, pamiętniki i książki podróżnicze, od feljetonów dziennikarskich aż do wydawnictw o charakterze opisowym. Z tych ostatnich książka

B. Chwaścińskiego i J. Wojsznisa «Wśród gór Marokka» posiada całą świeżość i bezpośredniość wrażeń, doznawanych przez autorów, uczestników wyprawy alpinistycznej w Wysoki Atlas. Barwne scenki rodzajowe z życia Marokańczyków, opisy poszczególnych wypraw żywe i interesujące, wreszcie szczegóły przyrodniczo-geograficzne, podane umiejętnie i bez nudnych dłużyzn — wszystko to składa się na wdzięczną całość, która przykuwa uwagę czytelnika od pierwszej do ostatniej kartki i pozwala mu z niesłabnącem zainteresowaniem śledzić losy wyprawy.

Słabą stroną książki jest jej charakter prawie feljetonowy. Autorzy nie silą się na danie obrazu całości działań wyprawy i opisują tylko te wejścia i przygody, w których sami brali udział. Niema pozatem ścisłej łączności między poszczególnemi rozdziałami, tak, że gdyby np. jeden z nich opuścić, możnaby niemal nie zauważyć jego braku. Większa spójność dodałaby niewątpliwie jędrności całej książce. Gdzieniegdzie trafiają się też pewne usterki językowe, które zresztą nie wpływają na całość interesującą i udatną. ZOFJA KULESZYNA

Adrar n'Deren. *Polska wyprawa alpinistyczna w Wysoki Atlas 1934.* Praca zbiorowa pod redakcją JANA A. SZCZEPAŃSKIEGO. Opisy, wspomnienia, sprawozdania, 4 rotograwury, 7 map i 20 fotografij. St. 56. Nakł. Oddziału Krakowskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Kraków 1935.

Ogromny wysiłek alpinistyczno-podróżniczy, włożony w wyprawę w Atlas, musiał wydać odpowiedni plon w druku. Pierwszem zamierzeniem wydawniczem, doprowadzonem do pomyślnego rezultatu wspólnemi siłami niemal wszystkich uczestników wyprawy, była praca zbiorowa «Adrar n'Deren», wydana przez Oddział PTT w Krakowie. Wyszła ona z druku, nim się ukazały książki i osobne prace poszczególnych uczestników wyprawy, a pisana była poprostu na gorąco. To też świeżość uczuć i wrażeń jest naczelną cechą opisowej części książki, która tem większe robi wrażenie przy jej rzeczowości i fachowości. Z zawartych w książce wspomnień bije entuzjazm i umiłowanie idei, niesionej przez dziewicze ściany i szczyty egzotycznego lądu. Z ich słów wyzierają do czytelnika radości i smutki przeżywane przez autorów i dają mu poznać trudności, wyrastające przed eksploratorem tych krain, które dotychczas zwycięsko opierały się zaborczej ciekawości białego człowieka. Wysoką wartość wydawnictwa podnosi jeszcze cały szereg pięknych fotografij i estetyczna szata zewnętrzna. Całość z właściwą sobie ścisłością i starannością zebrał i ułożył red. J. A. Szczepański. J. K. PETECKI

STANISŁAW SIEDLECKI: Wśród polarnych pustyń Svalbardu. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Warszawa—Lwów 1935. Str. 190. 32 fotografje poza tekstem.

Wydawnictwo Książek Szkolnych przyniosło wśród wielu cennych dziełek popularnych książkę nader wartościową, w której autor, znany taternik i uczestnik ostatnich podbiegunowych wypraw polskich, dzieli się swemi wrażeniami i opisem pobytu na Wyspie Niedźwiedziej i na Ziemi Torella. Książka przeznaczona jest przedewszystkiem dla młodzieży, co sprawia, że autor kładł nacisk na opis prosty i przystępny, czyniąc to słowem prostem i przystępnem, co uczyniło z jego książki lekturę miłą, której nie ostatnim wdziękiem jest bezpretensjonalność.

Siedlecki łączy w sobie elementy sportowe i człowieka nauki i ten ostatni umie częstokroć przemycić w książce mnóstwo wiadomości i naukowych szczegółów, podać je interesująco i bez balastu naukowości. Przysłużył się swemi wspomnieniami z polarnych pustyń Svalbardu nietylko młodzieży. Książkę przeczyta każdy z wzrastającem od pierwszej strony zainteresowaniem. W. KRYGOWSKI

ZAKOŃCZENIE SPRAWY DR. KONSTANTEGO NARKIEWICZA-JODKO

Zgodnie z uchwałą Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków Sekcji Turystycznej PTT., powziętą w Zakopanem w dniu 22 września 1935 r. («Taternik», XX, 27—28) Zarząd Klubu załatwił w przepisanym w owej uchwale terminie sprawę dr Konstantego Narkiewicza-Jodko — widział się jednak zmuszony przedłożyć ją raz jeszcze ogółowi członków Klubu do rozstrzygnięcia, a to z chwilą, gdy przystąpiło do Klubu Koło Wysokogórskie przy Oddziale Warszawskim PTT, którego dr Narkiewicz-Jodko był zawsze pełnoprawnym członkiem. W tej sytuacji Zarząd zwołał Nadzwy-

czajne Walne Zgromadzenie Członków Klubu (p. «Taternik», XX, 60). Zgromadzenie to odbyło się w Warszawie w dniu 23 lutego 1936 r. przy udziale 29 członków zwyczajnych Klubu i 2 członków-uczestników. Obradom przewodniczył Aleksander Znamięcki, protokołował inż. Stefan Bernadzikiewicz. W sprawie dr Narkiewicza-Jodko, po przedstawieniu jej przebiegu od czasu Walnego Zgromadzenia Członków STPTT. z dnia 22 września 1935 r. przez prezesa Klubu prof. dr. Marjana Sokołowskiego, po wysłuchaniu dłuższego przemówienia dr. Narkiewicza-Jodko i po przeprowadzeniu dyskusji, zgłoszono dwa wnioski: jeden, przywracający mu natychmiast pełne prawa członka Klubu, oraz drugi, proponujący wybór komisji, mającej w ciągu dwu tygodni uzupełnić orzeczenie pierwszej Komisji w sprawie dr. Narkiewicza-Jodko, powołanej przez Zarząd STPTT w 1933 r. («Taternik», XVII, 116). Większością 21 głosów przeciw 1, przy 4 wstrzymujących się, przyjęto pierwszy z tych wniosków. Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie bowiem — opierając się na orzeczeniu wspomnianej Komisji STPTT. z dnia 18 października 1933 r., która ustaliła, iż dr. Narkiewicz-Jodko nie wszedł był na żaden z wierzchołków szczytu Rateau — doszło do przekonania, iż w pierwotnej ocenie jego drogi z dnia 31 lipca 1931 r., jako wejścia od pn. na środkowy wierzchołek Rateau, zaszła pomyłka, nie wynikająca jednak ze złej woli dr. Konstantego Narkiewicza-Jodko.

DWIE PRZYGODY

PRZYGODA Z BUTAMI

Moja stara poczciwa babcia zawsze mawia kiedy wyjeżdżam w góry: «I poco wy, taternicy, ciągle w te Tatry jeździcie, przecie wszędzie już byliście i wszystko tam zwiedziliście? Ot, guza szukacie, aby spaść i kark skręcić!» Posyłam babci różne widokówki, najczęściej baranki pasące się na łagodnych halach, juhasa na gęślikach wygrywającego, aby przekonać staruszkę, że wcale nie szukam okropnej śmierci w tych strasznych górach. A jednak przyznaję czasem babci rację...

Niniejsza przygoda z butami dotyczy właśnie takiego przeżycia, kiedy autor miał dosyć gór i jedynie myślał; poco ja się tutaj znalazłem i jak się stąd wydostać.

* * *

Znacie wspaniały żleb spadający do Kaczej Doliny? Po prawej jego stronie piętrzą się najpiękniejsze tatrzańskie krzesanice: wschodnie ściany Rumanowego i Żłobistego. Po lewej ciągnie się od Zasłonistej Turni — północna grań Środkowej Śnieżnej Kopy.

Jest godzina czwarta popołudniu dnia 2 lipca 1935 roku. Dwaj taternicy właśnie skończyli wspinaczkę — pierwsze przejście owej grani. Znajdują się na rozległem plateau pod Śnieżnemi Kopami. Zwinęli linę, siedli na maliniakach. Cisza... Jeden z najrzadziej zwiedzanych i najbardziej uroczych zakątków Tatr. Bohaterowie niniejszego zdarzenia są wyraźnie zażenowani. Wybrali się na wielką alpinistyczną wyprawę: dwa plecaki, śpiwór, czekan, ileś tam haków z karabinkami, żywność na dwa dni. Mieli pójść na Ganek — trafili tutaj. Nie żałują, zbyt ładnie jest na śnieżnej terasie. Jor jest głodny i wydaje mu się, że siedzi przy stole niesamowitej wielkości, pokrytym śnie-

żnym obrusem i zastawionym olbrzymiemi babami. Te «babki» — to wierzchołki Śnieżnych Kop. Wawutek — imię drugiego bohatera — wygłasza krótkie exposé na temat: co robić dalej. Pada jednomyślnie decyzja: ponieważ wymienieni panowie są wysokogórcami, muszą więc wejść na szczyt. Pismo święte — Przewodnik J. Ch. i M. Ś. — poucza, że na środkowy wierzchołek Śnieżnej Kopy można wejść wprost granią łatwo, i że pod koniec jest ekspozycja. Taternicy ruszają na podbój szczytu.

Pismo święte nie może się mylić. Z tego też powodu łatwa grań zaczyna się odrazu nieco trudnym terenem. Jor prosi o linę — ma cudowną, błogosławioną wymówkę: jest to jego pierwsza wspinaczka w tym sezonie. Wawutek jak może pociesza towarzysza, opowiadając jak to na łatwej drodze asekurował wybitnego taternika, obarczonego parasolem i czekanem. Autor wobec tego może zawołać z emfazą: honny soit qui mal y pense!

Uskok grani. Wawutek zdejmuje buty i bez kleterek, tylko w pończochach — bo to przecież zaraz będzie łatwo — idzie wgórę. Jest pełen podziwu dla tych panów pierwszych zdobywców drogi. Musieli świetnie chodzić, jeżeli to była droga łatwa. Plecak Jora, który wspina się jako drugi, zawiera dwie pary butów mokrych i ciężkich od śniegu, cały szereg przeróżnych rzeczy i wraz z hakami waży do 12 kg. Przy następnej linie następują wypadki, będące właściwą treścią opowieści. Oddajemy głos Jorowi, jako aktorowi tej ponurej sztuki z happy-endem.

* * *

...Mam pecha. Wyraźnie nie wiedzie mi się. Lina zrzuca kamień. Dostaję w łeb i «robię huśtawkę». Z głowy cieknie krew. Wawrzek wyraźnie zniecierpliwiony woła, że mnie podciągnie. Protestuję. Proszę go tylko o przerzucenie liny, żeby więcej kamienie nie szły. Zresztą gotów jestem iść trudniej, tuż nad idealnie gładką płytą, którą zapewne mieli na myśli autorzy opisu w przewodniku, lapidarnie określając — «pod koniec ekspozycja». Sapię, stękam, jęczę. Wreszcie jestem tuż-tuż na wygodnym stopniu, dalej będzie świetnie. «Już dobrze!» — wołam w tryumfie.

Kochany Wawrzyńcu! Miałeś jak najlepsze intencje — pomelzaczyć towarzysza — tymczasem... Silne szarpnięcie wgórę wyrywa mnie z mojego stopieńka. Jadę na linie dobrych kilka metrów w bok po owej gładkiej płycie, niby wagonik kolejki na Kasprowy. Zawisam. Lina wbija mi się pod żebro, dusi piekielnie. Podemną — pięćdziesiąt metrów płyty i pięćset metrów żlebu do Kaczej Doliny.

Z góry odzywa się Wawutek: — «Jor, co z tobą? Jak ci tam jest?»

Ja jęczę z przeczuleniem: — «Bardzo źle, lepiej tnij linę, bo cię jeszcze ściągnę».

Wawrzyniec całkiem rozsądnie odpowiada: — «Nie gadaj głupstw!» — i dalej skandując słowo po słowie: — «Znajdź miejsce do stania, abym mógł wbić haki!»

Nie odzywam się. Jest mi szalenie niewygodnie i wszystko zupełnie obojętne pozatem na świecie. Ale Wawrzek jest bardzo uparty: powtarza swoje— «znajdź miejsce».

Błysk zdrowego rozsądku. Zaczynam zastanawiać się, dlaczego jest mi tak przykro, dlaczego wiszę w p o z i o m e j pozycji, dlaczego moja głowa jest prawie na równej linji z nogami. Chwila olśnienia: plecak! Plecak jest przyczyną, że zatraciłem równowagę ciała i ducha. Ze złością i nienawiścią odpinam rzemienie. Trach! Leci ten mój wróg daleko i głęboko. Zrobiło mi się odrazu równo, lekko i przyjemnie.

Słychać jęk z góry. — «Jor, co się stało?» Moja radosna odpowiedź: — «Wszystko dobrze! Zrzuciłem plecak z butami i mam miejsce do stania».

Przylepiony do ściany przysłuchiwałem się miarowym uderzeniom młotka w hak. Stałem tylko na piętach na dwóch małych orzeszkach skalnych — jedyne możliwe miejsce na gładkiej, jakby wyszlifowanej płycie. Bezwzględnie z plecakiem tak stać bym nie mógł. Lina zwisała obok zupełnie luźno. Stałem i rozmyślałem, że oto podemną jest kilkaset metrów powietrza, że nie jestem wcale asekurowany, że nie wolno mi ani na sekundę stracić równowagi, bo ściągnę nieprzygotowanego towarzysza, który teraz z poświęceniem wbija swój jedyny hak. Czy to nie wystarczy, aby mieć stracha? Więc się bałem... I miałem dość gór...

* * *

Oto powody, dla których Jor zdjął buty. Gdy, po bardzo skomplikowanych operacjach z liną, obydwaj taternicy znaleźli się na wierzchołku Śnieżnej Kopy, objęli się serdecznie, przytem Wawutek jako przedstawiciel rodu Jacków oznajmił uroczyście, że «wszystkie Jacki są takie». Męka Jora się skończyła. Zaczęło się męczeństwo Wawutka. Niech wobec tego opowiada sam bohater.

* * *

...Biwak na środkowym wierzchołku Śnieżnej Kopy. Jor chrapał w śpiworze aż miło. Ja nie spałem wcale. Noc wlokła się długo, długo...

O świcie schodzimy, naczczo i bez butów. Teraz najgorsze było przedemną: zawalony śniegiem żleb Wschodnich Żelaznych Wrót, piargi i śnieżne pola górnego piętra Kaczej Doliny.

...Wierzcie mi, to okropna, straszna rzecz schodzić po śniegu na bosaka — stopa skarpetki dawno zniknęła bez śladu. Ulotniła się po pierwszym zetknięciu ze śniegiem. — Jorowi dobrze; ma pantofle, a ja nic. Zimno, zimno... Chciałbym stopy do ust włożyć! Staję jak bocian, to na jednej, to na drugiej nodze. Jaka szkoda, że nie mogę podnieść obu...

Koniec żlebu. Wabią wygrzane słońcem kamienie. Nowa tortura. Po sypkim, ostrym piargu noga zsuwa się, czuję każdy kamyk aż do szpiku kości. Prędko, prędko na śnieg. Zimno, brr! Już lepiej na piargu. Potem znowu na śnieg, ochłodzić obolałe stopy. I tak dalej. Taniec opętańczy — z gorącego na zimne i z zimnego na gorące.

* * *

Schodzono osiem godzin (zamiast dwóch). Plecak znaleziono po dwóch dniach pod ścianami Rumanowego. Prawie nic nie zginęło, oprócz butów Jora. Może utknęły gdzieś w żlebie i oczekują łaskawego znalazcy? Butami Wawy, pełnemi wody, pił Architekt z Wawą bruderszaft.

P. S. *Do wiadomości ewentualnego uczciwego znalazcy moich butów. Żadnej nagrody nie wyznaczam. Jor.* JÓZEF ORENBURG

PRZYGODA Z TRAWERSEM

Wyjeżdżaliśmy ze Zdzisiem pełni optymizmu. On stwierdzał dobre samopoczucie po zastrzyku tyfusu; ja, że wogóle nie miałem się czem przejmować, bowiem Stefan był na Kaukazie i nie zanudzał mnie ciągłemi groźbami w rodzaju: «Ja jadę do babci na wilję». W pociągu namawiam Zdzisia, by poszedł na północną ścianę Wysokiej, lecz on jest nieugięty. «Ja muszę obrobić Mięguszowiecki. Widzisz, tu trzeba kawałek jeszcze wyprostować, i tu. Dwie liny tego będzie, ale nie masz pojęcia, jakie to jest ważne dla Przewodnika Monograficznego».

W chwilach wolnych, Zdziś tłómaczy mi tajemnice lokomotyw. «Ta jest zdaje się OK 3, nadaje się tylko do pociągów do Zakopanego, bo się zawsze

psuje». W końcu zasnął i przestał mówić o przewodniku, tyfusie i lokomotywach.

W Zakopanem zbieramy nasze rzeczy; kupuję młotek (który w następstwie Wawa złamał na Korosadzie, nie robiąc mu żadnej szkody) i wyruszamy do Roztoki. Tu naturalnie «siedzi» kwiat podhalański — Róża i proponuje nam swe towarzystwo. Zgadzamy się, mimo, że nigdy nie miała szczepionego tyfusu i że wobec tego nie jest uodporniona na kamienie.

Nocujemy w Kolebie nad Czarnym Stawem i rano ruszamy na Środkowy Mięguszowiecki. Pogoda nie jest zbyt ładna, zanosi się na deszcz, my jednak jesteśmy pełni zapału. Zdziś ma mało czasu, bo ze kilka dni musi wracać do wojska, więc nas dopinguje.

Pod ścianą wiążemy się i zaczynamy wchodzić. Teren jest bardzo kruchy, kamienie lecą. W pewnej chwili słyszę głos Róży: «dostałam kamieniem od Zdzisia». Pocieszamy ją, że to nie koniec. Rzeczywiście po chwili słyszę jej głos, skarżący się na mnie. Oglądam się i widzę Różę, słaniającą się i zalaną krwią. Trudna rada, trzeba wracać. Przynoszę z Morskiego Oka jodynę i siedzimy w kolebie. Rankiem, nazajutrz, tym razem już bez kobiet ruszamy w góry. Zdziś obiecuje mi «krótką wspinaczkę» na północno-wschodniej ścianie Mięguszowieckiego, drogą Adama Sokołowskiego. «Za pięć godzin będziemy spowrotem» powiada, lecz ja na wszelki wypadek zabieram latarkę.

Odrazu na początku Zdziś nie może zorjentować się w opisie drogi i tracimy nieco czasu na szukanie nowego warjantu. Poczem ruszamy szybko do góry. Droga prowadzi po dość eksponowanych trawkach, półeczkach trawiastych i t. p. Zaczyna się przedłużać, bo mimo upływu około pięciu godzin, szczytu nie widać.

Wchodzimy w teren czysto skalny. Kilkanaście metrów pniemy się do góry, poczem klinujemy się za wielki blok, który wywieszony jest nad prostopadłą ścianą. Staram się jaknajdelikatniej poruszać, by przypadkiem nie spowodować katastrofy.

Zdziś rusza naprzód. Przed nami widnieje trawers po półeczce wychylonej nad ekspozycją. Słyszę głos Zdzisia wołającego do mnie: «mam wspaniałe miejsce do asekuracji, chodź!». Dochodzę do niego i wobec trudności zmiany stanowiska — mijam go. Przede mną kawałek trawersu, a potem między dwiema ściankami, rodzajem rysy wgórę. Trawers mijam szybko i około 2—3 metry idę do góry. Tu napotykam przewieszkę.

Próbuję ją zrobić; na ręce mam dobre chwyty, lecz na nogi nic znaleźć nie mogę. Godzina jest już późna, należy się śpieszyć, próbuję dwa razy. Za każdym razem nogi mi się obsuwają. Za trzecim razem przerzucam jedną rękę przez przewieszkę, podciągam nogi pod siebie i siłą staram się przejść, lecz ręka nie znajduje chwytu. Od tej chwili właściwie nic nie pamiętam co się działo i jak leciałem w powietrzu. Jedyne wspomnienie to obraz czegoś — co razem ze mną spadało. Później okazało się, że były to moje okulary.

Poczułem coś nieprzyjemnego, zatrzymującego mnie i przypierającego do ściany. To Zdziś utrzymał mnie z wolnej ręki. Objaśniam go, że nic mi się prawdopodobnie nie stało, poczem prostuję, mówiąc o lekkim bólu stopy.

Przy wydatnej pomocy Zdzisia dochodzę do niego, tu trochę odpoczywam, zajmuję jego stanowisko i stwierdzając systemem słynnego asa trójki moich konkurentów kaukaskich, stan «bulwersacji», proszę, by uważał, bowiem moja asekuracja, po tak mocnych wrażeniach, nie jest zbyt pewna.

Przechodzimy tym razem szczęśliwie pechowe miejsce. Jeden z dwóch haków zabitych przez mego towarzysza, wyjmuję ręką.

Tu przed nami staje zagadnienie nad wyraz trudne.

Wszystkie wyżej opisane wypadki zajęły nam sporo czasu i dzień zaczyna się kończyć, chmury ukazują się na horyzoncie, pogoda gwałtownie się psuje. Teren nie staje się łatwiejszy; pozostanie na noc w miejscu, gdzie się znajdujemy, grozi noclegiem na stojąco, co nas wcale nie zachwyca.

Naradzamy się i decyzja zapada, by wrócić i zanocować na jednej z półeczek, znajdującej się o kilka lin pod nami, jutro zaś, albo zejść na dół, albo, mając dużo czasu, jeszcze raz spróbować. Przechodzę szczęśliwie trawers i znów klinuję się za paskudny blok, tym razem czując się bardzo głupio.

Tu właśnie zaczyna się nasza tragedja. Zdziś żałuje pętli, zakłada linę za blok i dochodzi do mnie. Zaczynamy ciągnąć linę, ale nie daje to żadnego rezultatu. Robi się zupełnie ciemno, stać za blokiem przez noc i patrzeć na Morskie Oko nie jest wcale przyjemne. Mamy jeszcze kilka metrów liny do dyspozycji. Schodzę na półeczkę. W chwilę potem jest przy mnie i Zdziś. Deszcz zaczyna popadywać, wiatr duje. Przygotowujemy się do noclegu. Wbijam hak w ścianę i przywiązuję się. To samo robi i mój przyjaciel.

Teraz wyrasta przed nami problem, co robić. Zimno jest i leje. W takich warunkach nie ma mowy byśmy z trawersu potrafili nazajutrz zdjąć linę. Próbujemy ją ponownie ciągnąć, ale wszelkie wysiłki okazują się daremne. Kombinujemy, że Wawa miał na nas czekać w Morskiem Oku, jeżeli będziemy dawali znaki przyjdzie pod ścianę, dowiedzieć się co potrzebujemy. Zaczynamy świecić latarką; po chwili widzimy znaki ze schroniska, wprawdzie nie przepisowe, ale konstatujemy, że nas widzą. Jesteśmy spokojni, że Wawa nie narobi gwałtu, a przyjdzie z kimś z taterników.

Deszcz leje coraz lepiej, jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. Zdziś klnie do siebie po cichu. Nie rozumiem co mówi. Wyjaśnia mi, że sobie powtarza brzydkie wyrazy po kilka razy, i że to go grzeje. Ja mam inny sposób, trzęsę się na zapas, bo w rzeczywistości nie jest mi zimno. Powtarzam również: «Lato to nie zima». W zimie spałbym sobie w namiocie po zjedzeniu grysiku na słodko, natomiast w lecie nie mamy namiotu, ani maszynki. Tymczasem rzeczywistość jest paskudna, bo mgły schodzą coraz niżej, deszcz już nie pada a leje, i do tego w chwili przejaśnienia na szosie widzimy światło. Źle jest, widocznie Wawy nie było w Morskiem i zaalarmowano pogotowie.

Teraz jest już zapóźno, by się martwić. Siedzimy, chwilami śpimy, pogoda coraz fatalniejsza.

Z utęsknieniem oczekujemy na poranek, który nie chce się ukazać. W końcu na wschodzie zaczyna się rozjaśniać i jak ranny śpiew ptasząt słyszymy wołania Wawy. Przez długi, długi czas nie możemy się porozumieć. W końcu Wawa nam krzyczy, że za chwilę wejdą w ścianę. Robimy ze Zdzisiem naradę wojenną, stwierdzając, że nie ma sensu czekać na pogotowie, aż do nas dojdzie. Obcinam kawałek liny wiszącej nad nami. Rozkręcamy ją, to samo robimy z dwoma kawałkami pętli i związujemy je razem. Z tak prowizoryczną liną zaczynamy schodzić na dół. Idzie to nam bardzo opornie, gdyż sznurek zacina się co chwila. W każdym razie zbliżamy się do pogotowia, które też wytrwale posuwa się do góry. Pod ścianą siedzi galerja widzów. Kilkanaście lub kilkadziesiąt osób, różnej płci i maści.

Około dwunastej spotykamy się z pogotowiem, które z Wawą na czele przybyło nam na pomoc. Słyszymy opowiadania o organizacji pomocy.

Zaczynamy schodzić jaknajszybciej, pogoda bowiem nie wróży nic dobrego. Na pierwszego idzie Stanisław Roj. Pierwszorzędnie zabija haki. Teren jest trawiasty i wymagający ostrożności. W każdą trawkę potrafi zabić hak i wcale nie na żarty. Każdy jest precyzyjnie zabity i trzyma się «na fest».

Po kilku godzinach dochodzimy do piargu. Pierwszą osobą, którą spoty-

kam, jest Jor. w swej okropnej szlafmycy. Naturalnie pyta nas o wrażenia i o ilość ślimaków w miejscu noclegu. Potem krytycznie ogląda nas i powiada: «Ładne byłyby z was fotografje do mego albumu, tak się cieszyłem i znów zawód».

Po dwóch dniach pełnych przygód, pokłóciłem się ze Zdzisiem, poraz pierwszy, przy samem schronisku. Zamiast jaknajprędzej wejść do środka, zaczął się przebierać, bo chciał czarować kobiety.

Oglądano nas tam jak konie na sprzedaż.

Ze Zdzisiem umówiłem się znów na wyprawę, ale tym razem na Gubałówkę, bo trzeba sprawdzić, czy pechowy jest dla nas Mięguszowiecki, czy też każdy inny szczyt. Dwa przymusowe noclegi na jednym szczycie, w przeciągu jednego roku — dają wiele do myślenia.

STANISŁAW LUXEMBURG

SKALNE DROGI

BUCZYNOWE CZUBY. I wejście pn. ścianą. Podpisany, dnia 27 lipca 1935 r.

Niezbyt wysoka ale urwista pn. ściana Buczynowych Czub wznosi się ponad korytem skalnem, omówionem w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nr. 119. Środkowe, najbardziej lite partje ściany, przerzyna komin, u dołu przekształcający się w trawiasto-skalistą, stromo opadającą rynnę. Z drogi Nr. 119 rynną i dnem komina pod główny, pionowy a nawet częściowo przewieszony jego próg, i trudną, choć mocną i znakomicie uwarstwioną jego skałą na platformę ponad nim, skąd przez nowy, dość trudny próg na wygodne stanowisko. Jeszcze jeden nieco trudny stopień wywodzi na najwyższą, znowu w rynnę przekształcającą się część komina i rynną tą, poczęści już trawiastą, łatwo na siodełko położone tuż na zach. od pierwszej, licząc od wsch., turniczki Buczynowych Czub, będącej zresztą najwyższem ich wzniesieniem (3/4 godz.). Droga częściowo trudna i dość interesująca.

J. A. SZCZEPAŃSKI

ŻABI MNICH. I wejście pd.-wsch. ścianą na niższy wierzchołek. Podpisani, dnia 18 lipca 1935 r.

Ze żlebu, spadającego z Białczańskiej Przełęczy Wyżniej ku zach., kilkadziesiąt m poniżej siodła przełęczy, u wylotu żlebku spadającego z przełączki między wierzchołkami Żabiego Mnicha — w l. na skały, w które odchodzi ze żlebu poziomy, trawiasty zachód, i zachodem tym aż do jego końca, gdzie wejście w ścianę (kopczyk).

Płytką rysą ok. 40 m wprost wgórę na trawiastą przełączkę przy doskonałym do asekuracji bloku. Półeczką tą parę w wpr. do pęknięcia, którem wgórę i dalej wpr. Nie dochodząc do charakterystycznego, nieco niżej położonego balkonu, wgórę do płytowego zacięcia, którem, pod koniec jego pr. krawędzią, na wąską, trawiastą półeczkę. Nią ok. 6 m prawie poziomo w l. na stopnie, któremi wgórę do otwartej rynny wśród ogromnych bloków. Rynną na grań, bezpośrednio poniżej pd.-zach., niższego, wierzchołka Żabiego Mnicha, poczem granią na ten ostatni (1 godz.).

Droga eksponowana, b. trudna i zajmująca. Skała lita.

Z. KOROSADOWICZ J. W. ŻUŁAWSKI

ŚRODKOWA RUMANOWA PRZEŁĘCZ. I wejście z Doliny Czeskiej. S. Motyka i J. Sawicki, dnia 10 lipca 1931 r.

Z przełęczy spada ku pn.-zach. — poprzez całe urwisko — komin, stanowiący kierunek opisanej tu drogi. Wejście w ścianę na pr. od miejsca, w którem śnieg najwyżej podchodzi pod ujście wspomnianego komina. Przy obfitem zaśnieżeniu wejście w skały pokonujemy przy pomocy ryzykownego skoku na półkę z pr. strony komina, skąd trawersem wl., wpoprzek komina, do położonego dalej na l. kruchego kominka i nim na l. grzędę głównego komina. Stąd już łatwiej grzędą po niemiłych trawach do trawiastej platformy, przekształcającej się wl. w trawiasto-skalisty zachód. Zachodem tym wl. wskos i dalej w kierunku małej rysy.

[Do tego miejsca można dotrzeć, zapewne znacznie łatwiej, posunąwszy się drogą Nr. 569 Przew. J. Ch. i M. Ś. niemal do wylotu opisanej tam 20-metrowej załupy *(10)*, a następnie trawersując kilkanaście (?) m wpr., zapewne bez większych trudności.].

Teraz 25 m trawersem wpr. *(8)* i przez 3—4-metrową, przewieszoną ściankę (b. trudno) na platformę w głównym kominie, położoną ponad jego przewieszonym



Rys. wg. fotografij i szkicu Zdz. Dąbrowski.

I. Wsch. Rumanowa Przełęcz. — II. Środkowa Rumanowa Przełęcz. — III. Zach. Rumanowa Przełęcz.

Oznaczenia do opisu drogi Nr. 569 Przew. J. Ch. i M. Ś.: *10.* załupa, stanowiąca najtrudniejsze miejsce drogi. — *11.* «stroma, płytka, szutrem pokrytemi skałami wyłożona rynna».

uskokiem. Drugą przeszkodę w kominie — 20-metrową, ociekającą wodą ściankę — omijamy również po l. stronie. Z platformy wl. zacięciem do piarżystej platforemki, poczem widoczną stąd rysą (przynajmniej b. trudno) wgórę do nyży (30 m), skąd trawersem 30 m wpr. (b. trudno) do komina, którym ok. 30 m do miejsca, gdzie się rozszerza, tworząc w środku przewieszone ścianki, już wpobliżu przełęczy. Stąd po l. stronie, przewieszonem zacięciem 10—12 m wgórę (b. trudno), poczem trawersem wpr. *(9)* i dalej samym kominem — pokonując w nim krótki, przewieszony kominek (nadzwyczaj trudno), a potem b. trudne zacięcie — wprost na Środkową Rumanową Przełęcz (4 godz.).

D r o g a n a d z w y c z a j t r u d n a, e k s p o n o w a n a i b. p i ę k n a

GALERJA GANKOWA. I. w e j ś c i e pr. p o ł a c i ą pn. ś c i a n y (p. rys.). (o p r a c o w a n i e Z. D ą b r o w s k i e g o).

D r o g a n a d z w y c z a j t r u d n a i o g r o m n i e e k s p o n o w a n a, n a l e ż ą c a do n a j w s p a n i a l s z y c h i n a j t r u d n i e j s z y c h w y p r a w t a t r z a ń s k i c h. — Od Zmarzłego Stawu w dol. Czeskiej 7 godz.). Spośród kominów, żłobiących górne partje pn. ściany Galerji Gankowej zwraca uwagę potężny komin *(4)*, położony najbardziej na pr. i sąsiadujący bezpośrednio z szeroką i płaską grzędą, której pr. ścianę tworzą olbrzymich rozmiarów, pionowe, gładkie płyty, i która w dolnej części tworzy rodzaj żeberka, zakończonego u dołu szerokim, nisko w piargi wrzynającym się językiem skalnym. Wspomnianym kominem wiedzie opisana tu droga.

Drogą 575 do mało wybitnej, żwirowiskiem zasutej depresji *(1)* w środku podstawy ściany, skąd wgórę przez niewysoką ściankę na rodzaj skalisto-piarżystego zachodu *(2)*. Nim w pr., aż w pobliże miejsca, gdzie się silnie zwęża i niebawem urywa w otwartej ścianie. Nieco przed tem miejscem wprost wgórę ścianką, a potem stopniami skalnemi i blokami, po 25 m na platformę *(3)*, położoną między blokami z pr. strony. Stąd:

(a) (ł a t w i e j) nieco wpr. na rodzaj żeberka, stanowiącego dolną część wspomnianej na początku grzędy i krawędzią jego wprost wgórę przez bloki.

(W. Stanisławski i J. Staszel, w zejściu 12. VIII. 1931; w wejściu szli tym sposobem pierwsi: W. Stanisławski i M. Żuławski 19. VIII. 1931).

(b) (d o ś ć t r u d n o) nieco wl. i krótkim, szerokim kominem, w którego kątach ciągną się dwie rysy, wgórę na łatwy, piarżysto-skalisty teren i nim wpr. na rodzaj żeberka stanowiącego dolną część wspomnianej na początku grzędy.

(W. Stanisławski i J. Staszel 12. VIII. 1931).

Stąd widać już w ścianie, nieco na l., opisany na początku komin, którym wiedzie dalsza część drogi. Rozpłaszczają się coraz bardziej krawędź żeberka przecina głęboka rysa. Od jej początku

(c) (n i e c o ł a t w i e j) kilka m wpr., nieco wdół i przez płytowe, półeczkami i listwami porozdzielane ścianki do krótkiego kominka z l. strony i nim, przez okno skalne

(W. Stanisławski i J. Staszel, w zejściu 12. VIII. 1931; w wejściu szli tym sposobem pierwsi: W. Stanisławski i M. Żuławski 19. VIII. 1931).

(d) (d o ś ć t r u d n o) kilka m wl. do ciągnącej się poza węgłem, na l. od wspomnianej wyżej głębokiej rysy i nią kilkanaście m wgórę. Przed miejscem, gdzie się rysa rozpłaszcza w płytowych skałach, kilka m wpr.

(W. Stanisławski i J. Staszel 12. VIII. 1931).

na dobrą platformę między blokami. Z platformy do ciągnącego się wprost wgórę, krótkiego kominka, lecz niemal od jego dolnego wylotu na skały z l. jego strony i niemi wgórę z odchyleniem w l. do początku opisanego wyżej, potężnego komina, przecinającego szczytowe partje urwiska.

Dnem owego komina 25 m wgórę pod jego pierwsze spiętrzenie. Przez niską przewieszkę i zaklinowany powyżej blok na piarżysty stopień w kominie, poczem — najlepiej odrazu — na pr. ściankę komina i nią kilka m wgórę, i wreszcie lekko w l. spowrotem do komina, którego skałami po kilku m na piarżystą platforemkę.

Dalej dnem komina, który po kilku m rozdziela się na dwie płytkie rynny. Stąd:

(e) l. rynną wprost wgórę, pod koniec przez zaklinowany blok na piarżysta platforme (W. Stanisławski i J. Staszel 12. VIII. 1931).

(f) (dość trudno) pr. rynną do wysokości piarżystej platformy, poczem parę m wl. na ową platformę (M. Żuławski 19. VIII. 1931).

Teraz znów dnem głównego komina kilka m pod nowe spiętrzenie, poprzez które nieco po l. stronie na łatwiejszy teren i nim pod zwężenie się skał w wąski kominek, wyprowadzający na wielką, piarżystą platformę pod olbrzymiem spiętrzeniem się głównego komina [1]).

Dno komina tworzy płytową, przewieszoną ściankę wysokości ok. 15 m, ponad którą leży dobra, piarżysta platforma u początku ciasnej czeluści komina z zaklinowanym u góry blokiem — zupełnie dobrze już widocznym z naszej, pod ową ścianką położonej, platformy. Stąd albo:

(g) (b. trudno) kruchemi, spiętrzonemi blokami do rysy po l. stronie płytowej ścianki. I rysa i ścianka przewieszają się. Najpierw kilka m rysą, aż do zaklinowanego nad nią, ruchomego bloku, poczem — osiągnąwszy płytowy gzymsik w ściance na pr. od nas, ścianką wprost wgórę na piarżystą platformę u początku ciasnej czeluści komina z zaklinowanym u góry blokiem.

(Sposobem tym, zapomocą wolnego zjazdu na linie, zeszli: W. Stanisławski i J. Staszel 12. VIII. 1931; w wejściu szli tak pierwsi: W. Stanisławski i M. Żuławski 19. VIII. 1931).

(h) (nadzwyczaj trudno) wąziutką rysą na pr. od wspomnianej wyżej ścianki kilkanaście m wgórę do miejsca, gdzie rysa przewiesza się i po paru m zanika (hak). Stąd trawersem parę m wpr., z pomocą jednego tylko chwytu na niezbyt pewnym bloczku, na skaliste stopieńki na pr. poza węgłem. Z nich kilka m wprost wgórę, poczem krokiem wpr. na stromą, wygładzoną płytę i nią wgórę na płytową póleczkę (wl.?) nad brzeg komina, który w tej części jest tylko na krótkiej przestrzeni wybitny. Właśnie na wysokości owej póleczki komin kończy się potężnemi przewieszkami. Nie schodząc do niego, tuż na l. (na pr.?) od przewieszek niewysoką, ale też przewieszoną ścianką kilka m wgórę, poczem nieco łatwiej wl. na płytową platformę. Z l. jej brzegu (hak z karabinkiem) zpomocą liny wl. wskos ku dołowi 12 m na piarżystą platformę, u początku ciasnej czeluści komina z zaklinowanym u góry blokiem [2]).

(W. Stanisławski i J. Staszel 12. VIII. 1931 dotarli dotąd wyżej opisanym sposobem podczas pierwszej próby przejścia tej części ściany).

Z platformy nadzwyczaj gładką, ciasną i mokrą czeluścią komina, po kilkunastu m na zaklinowane w jego głębi głazy, skąd nieco szerszym kominem pod przewieszkę (hak). Między ową przewieszką, a zaklinowanym w kominie olbrzymim blokiem — niezwykle ciasny, ok. 5 m długości liczący tunel, poprzez który na ów zaklinowany głaz (b. trudno).

Na pr. od niego — wygodne stopnie skalne. W dalszym ciągu, wprost nad nami ciągnie się w przedłużeniu komina krótka rysa, kończąca się niebawem olbrzymiemi przewieszkami ściany. Ze wspomnianych, wygodnych stopni skalnych parę m w pr. do innej, nakształt wąskiego pęknięcia ciągnącej się rysy i nią (w połowie hak z karabinkiem) kilkanaście m wprost wgórę (nadzwyczaj trudno) pod koniec przez niewysoką i niewybitną przewieszkę na piarżysty stopień, położony u początku biegnącego stąd wprost wgórę, ku środkowi rozszerzającego się komina. Nim, (nadzwyczaj ciasno i mokro), aż popod samą nakrywającą go u góry przewieszkę (nadzwyczaj trudno). Stąd, zpomocą dwóch haków, trawers 3 m w pr. (nadzwyczaj trudno) na płytową platformę w żebrze z pr. strony. Z l. jej brzegu kilka m wprost wgórę na niewielką, pochyłą płytę i z niej — przewinąwszy się w pr. poza

---

[1]) Od tego miejsca W. Stanisławski i J. Staszel zeszli 12. VIII. 1931, częściowo przy pomocy liny, lecz bez zjazdów.

[2]) Opis powyższego warjantu zamieszczamy w «Taterniku» w całości, jedynie dla «historycznej» ścisłości. Rzecz jasna, że w przyszłym przewodniku warjant ten zadowoli się kilku wierszami ogólnikowej informacji.



Rys. wg. fotografij i szkicu Zdz. Dąbrowski.

I. Pusta Ławka. — II. Kacza Turnia. — III. Przełączka pod Kaczą Turnią. — IV. Mały Ganek (na tle Ganku). — V. Wsch. Rumanowa Przełęcz.

Oznaczenia do opisu drogi Nr. 569 Przew. J. Ch. i M. Ś.: jak na rysunku: «Rumanowe Przełęcze od pn.». Oznaczenia do opisu drogi Nr. 575 Przew. J. Ch. i M. Ś.: *1.* «częściowo żwirowiskiem zasuta depresja». — *5.* «mokra nyża o pochyłem, piarżystem dnie». — *6.* «duży, piarżysty stopień» ponad t. zw. «ścianką Wanjury». — *7.* «malutkie siodełko w krawędzi żeberka» w miejscu, w którem żeberko to wrasta w ścianę komina.

Oznaczenia do opisu drogi Nr. 574 Przew. J. Ch. i M. Ś.: *8.* «długa, pozioma kozia perć» (na rysunku widać również — ponad Galerją Gankową — wykreskowaną, górną część tej drogi).

krawędź żebra — kilka m wgórę spowrotem na wspomnianą krawędź (dobry blok do asekuracji). Stąd 3 m poziomo przez gładki, kończący ją prożek i wreszcie poprzez parę niewysokich stopni skalnych — na piargi zach. skraju tarasu Galerji Gankowej. (W. Stanisławski i M. Żuławski 19. VIII. 1931).

GALERJA GANKOWA. Z e j ś c i e d o D o l. C z e s k i e j.

Zamieszczony w «Taterniku» XIII, 66, opis zejścia z Galerji Gankowej do Dol. Czeskiej jest b. niejasny i wynikł z nieuwzględnienia przyjętej już oddawna nazwy Kaczej Turni. Poprawny opis tego zejścia jest następujący:

Z tarasu Galerji Gankowej ku pd.-wsch. na jej, coraz bardziej zwężającą się krawędź i z niej na malutką przełączkę u początku stromo spadającej pn.-wsch. grani Małego Ganku, tworzącej kilka dużych uskoków. Z przełączki wdół na stronę Dol. Kaczej, początkowo po skałach, potem szerokiem, trawiastem zboczem do miejsca, gdzie otwiera się w l. widok na całą, wyżej wspomnianą grań, tracącą na stromości przy wysmukłej turni, poza którą znajduje się już Przełączka pod Kaczą Turnią[1]).

[1]) Dla silniej wyodrębniających się punktów pn.-wsch. grani Małego Ganku wprowadzamy nazwy następujące:

a) P r z e ł ą c z k a p o d K a c z ą T u r n i ą — dla wcięcia w grani pomiędzy Kaczą Turnią (tuż na pd.-zach.-pd. od niej) a masywem Małego Ganku;

b) P u s t a Ł a w k a — dla wybitnej przełęczy (u stóp Kaczej Turni), omówionej w Przew. J. Ch. i M. Ś., tom III, str. 22, w. 3—5 odgóry);

c) P u s t a G r a ń — dla grupy dość wybitnych turni, tworzących dolną część całej pn.-wsch. grani Małego Ganku.

Popod ową turnią widać zdaleka olbrzymi, odpęknięty blok. Mniejwięcej na wysokości owej turni trawers w l. stromym terenem przez strome żleby do trawiastego tarasu, na kórym sterczy ów, odpęknięty od turni blok, po ominięciu którego jeszcze kilkanaście m wdół na Przełączkę pod Kaczą Turnią. (Na przełączkę tę można też wydostać się, trawersując w l. niżej, a potem dążąc wprost wgórę stromym, wąskim żlebem).

Z przełączki łatwą granią ok. 30 m na Kaczą Turnię, z której jej pn.-wsch. granią, poprzez trawiaste progi wdół. Kilkanaście m przed miejscem, w którem grań urywa się wysokim uskokiem ku Pustej Ławce — w l. po skałach i trawkach (najtrudniejsze miejsce) na duży, trawiasty taras, położony tuż na pd.-zach. od wymienionej przełęczy. Stąd w l. i wdół do szerokiego, trawiastego zachodu *(9)*, zbiegającego w l. wskos w kierunku podnóża pn.-zach. ściany Galerji Gankowej. Zachodem owym wdół, poczem jeszcze ok. 200 m poziomo po piargach do wejścia we wspomnianą ścianę (2 godz.).

Droga nieco trudna, b. praktyczna, pozwalająca po przejściu pn.-zach. ściany Galerji Gankowej na względnie łatwy i szybki powrót po pozostawione pod ścianą rzeczy.

(Należy zauważyć, że droga ta bynajmniej jednak nie jest najprostszem zejściem do podnóża ściany. Najlepiej po osiągnięciu opisaną wyżej drogą Przełączki pod Kaczą Turnią zejść na wspomniany w opisie, duży, trawiasty taras drogą Nr. 574 Przew. J. Ch. i M. Ś., omijając całkowicie Kaczą Turnię).

Opisaną wyżej drogą schodzili pierwsi z Galerji Gankowej: L. Skotnicówna, B. Czech, J. Gnojek, A. Kenar i J. Ustupski, 29. VI. 1929, teren powyższy był jednak w całości poprzednio zwiedzony. W górnej części mianowicie (do Kaczej Turni) szlak ten pokrywa się mniejwięcej — początkowo ze szlakiem zejścia z Galerji Gankowej do Dol. Kaczej (I. w. i I. z. — H. Dębińska, J. Honowska, S. Makowski, A. i J. A. Szczepańscy i S. K. Zaremba, 8. VIII. 1926; por. «Taternik» z r: 1929, str: 38), następnie z drogą 574 Przew. J. Ch. i M. Ś. (I. w. — J. Maślanka i przew: Józef Gąsienica Tomkowy, 15. X. 1907), później zaś — na pn.-wsch. grani Kaczej Turni — ze szlakiem zejścia M. Skotnicówny i W. Stanisławskiego z 1. VIII. 1928. Wymienieni na początku turyści przeszli pierwsi jedynie wzmiankowany przy końcu opisu, trawiasty zachodzik *(9)*.

ŚNIEŻNA KOPA. I wejście pn. granią na środkowy wierzchołek. Podpisani, dnia 2 lipca 1935 r.

Piargami i śniegiem pn. żlebu Zach. Żelaznych Wrót wgórę do wys. depresji, z której wchodzi wpr. droga na Żłobistą Przełączkę («Taternik», XVI, 64). Tu w l. do wybitnej, wczesnem latem zaśnieżonej rynny i nią wgórę aż do jej końca pod przewieszające się skały. Tu kilka m trawersem wpr., poczem wgórę, nadzwyczaj kruchym, żwirowym terenem pod płytowy uskok pn. grani Śnieżnej Kopy. (Ponad nami znajduje się charakterystyczna, głęboko wcięta przełączka, na którą, zapewne nietrudno, można się wydostać z Kotła pod Zasłonistą Turnią). Kilka m poniżej przełączki trawiastem pęknięciem poprzez płytę ok. 3 m wpr., poczem trawiastą półką w l. i kilka m wprost pod przewieszkę, ponad którą obejściem z l. strony, trudno. Dalej w zasadzie krawędzią grani 25 m pod nowe spiętrzenie, przez które nieco z l. strony i przez przewieszkę na łatwiejszy teren. Teraz granią zbudowaną z wielkich bloków (miejscami nie bez trudności) ok. 60 m wgórę, a następnie kilkadziesiąt m łatwo i dowolnie na omówiony w Przew. J. Ch. i M. Ś. pod Nr. 609 taras śnieżny.

Przez taras wprost pod skrzesaną pn. krawędź turni szczytowej. Nieco na l. od niej 30 m wgórę aż do kazalnicy pod spiętrzającą się krawędzią. Nią wgórę b. trudno i w dużej ekspozycji (najtrudniejsze miejsce) a następnie wprost na zach. grań kilka m poniżej wierzchołka (3 godz.).

Droga długa (od Zielonego Stawu Kaczego ok. 6 godz.), wiodąca nader malowniczym, wspaniałym i rzadko zwiedzanym terenem. J. Orenburg J. W. Żuławski

DRĄG. I wejście wsch. filarem. J. Gnojek i J. Sawicki, dnia 3 sierpnia 1934 roku.

Wsch. filar Drąga ogranicza od l. (pd.-wsch.) strony pionową, ok. 100 m wysoką pn.-wsch. ścianę Drąga zwróconą ku żlebowi spadającemu z Przełęczy koło Drąga w Dolinę Batyżowiecką — i urywa się u dołu szeroką i nadzwyczaj urwistą ścianą, którą przecina płytowe zacięcie *(1)*, wywodzące skośnie w pr. na krawędź ściany. Zacięciem wgórę — częściowo jego dnem częściowo pr. jego grzędą — na przełączkę *(2)* w owej krawędzi. Stąd trawersem 20 m w l. i wgórę przez przewieszkę, poczem w dalszym ciągu ścianą na piarżystą platformę a z niej w pr. wskos na stopień w krawędzi filara. Stąd omijamy wiszący ponad nami dziób skalny, trawersując w l. po płycie *(p)*, poczem skośnie w pr. pod małą przewieszkę, skąd wgórę na wierzchołek małej turniczki *(3)*, sterczącej w krawędzi filara. Z turniczki krawę-



DRĄG OD WSCHODU
Rys. według fotografij Zdz. Dąbrowski.

I = Pn. wierzchołek Małej Kończystej. — II = Przełączka pod Małą Kończystą. — III = Stadłowa Przełączka. — IV = Turnia nad Drągiem. — V = Przełączka koło Drąga Wyżnia. — VI = Drąg. — VII = Przełęcz koło Drąga.

——— droga wsch. filarem Drąga, opisana w bież. zesz. «Taternika».
...... drogi na Przełęcz koło Drąga z Dol. Batyżowieckiej, opisane pod nr. 627 Przew. J. Ch. i M. Ś.

dzią tą 30 m na platformę, poczem — ominąwszy po l. stronie uskok filara — jego grzbietem wprost na wierzchołek Drąga (3 godz.). Droga b. trudna, eksponowana i interesująca.

KOŚCIÓŁEK. I zejście zach. ścianą. J. Gnojek i J. Sawicki, dnia 11-go sierpnia 1934 r.

Z wierzchołka drogą Nr. 672 Przew. J. Ch. i M. Ś. na poziomą, trawiasto-piarżystą półkę. W l. jej części wchodzi przecinający całą zach. ścianę, 40-metrowy komin. Z pr. strony komina ścianką wdół, przy końcu rysą żłobiącą ścianę, poczem w l przez gładką ściankę na piarżysty taras we wspomnianym kominie. Z tarasu w l. skośnie wdół płytową półką do jej końca, a następnie wdół ścianką do białego, płytowego zacięcia i niem na piargi w miejscu, gdzie zach. ściana najniżej na nie schodz ($^1/_2$ godz.). Droga trudna, wiodąca po mocnej skale.

MAŁY GIERLACH. I zejście pd. ścianą, częściowo nową drogą[1]). J. Gnojek i J. Sawicki, dnia 5 sierpnia 1934 r.

Z wierzchołka wdół pd. ścianą, złożoną u góry z dużych bloków aż od miejsca, gdzie ściana tworzy rodzaj piarżystego kotła. Z kotła wyrasta w środku mała turniczka. Z pr. strony turniczki wdół piarżyskiem do płytowej, wymytej wodą rynny i nią wdół przez kilka progów do miejsca, gdzie 50 m nad piargami Kotła Gierlachowskiego, urywa się stromym progiem. Teraz w l. przez dwa żebra do trzeciej rynny i nią wdół na piargi ($1^1/_2$ godz.). Droga dość trudna.

ŚRODKOWA NOWOLEŚNA TURNIA. I. wejście od pn. Podpisani dnia 20 sierpnia 1927 r.

Droga prowadzi w głównej mierze dość wybitnym, urwistym żlebem, spadającym w Dol. Staroleśną z szerokiej przełęczy pomiędzy Skrajną a Środkową No-

[1]) Droga poniżej opisana pokrywa się częściowo z drogą Nr. 697 Przew. J. Ch. i M. Ś., która jest drogą od pd. na Przełączkę pod Małym Gierlachem.

woleśną Turnią. Z piargów doliny łatwemi skałami do dolnego wylotu żlebu i nim, poprzez dolny w nim próg, wgórę. W pobliżu górnego końca żlebu z l. strony do małego piarżystego kotła, skąd wpr. niemal poziomą, szutrem zawaloną rynną na wsch. brzeg wielkiej, piarżystej galerji, ponad którą wznosi się już blok szczytowy Środkowej Nowoleśnej Turni [1]). Mniejwięcej z połowy długości galerji — skośnie wpr. wgórę, na trawiastą półkę i przez trawiasty stopień na wygodną platformę. Z niej rodzajem zacięcia wgórę z lekkiem odchyleniem wpr. na drugą, mniejszą platformę, z której poprzez 4-metrowy stopień i łatwe skały w pr. na żeberko, i z niego pionowem spiętrzeniem i łatwą skałą wprost na wierzchołek ($1^1/_4$ godz.). Droga dość trudna.

H. Dębińska A. Szczepański J. A. Szczepański

SPRAWY KLUBU

Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków Klubu.

Zgromadzenie to odbyło się w Warszawie w dniu 23 lutego b. r. i powzięło kilka uchwał, z którym decyzję likwidującą sprawę dr K. Narkiewicza-Jodko oraz oświadczenie w sprawie ochrony przyrody Tatr publikujemy na osobnem miejscu niniejszego zeszytu.

Utworzenie Koła Krakowskiego.

Zgodnie z informacją «Taternika» XX, 108 odbyło się w dniu 17 lutego 1936 r. Konstytuujące Zebranie Koła Krakowskiego Klubu. Uchwalono regulamin wewnętrzny, omówiono linję pracy Koła i wybrano Zarząd w składzie: dr Adam Sokołowski — przewodniczący, Jan A. Szczepański — sekretarz, dr Jan K. Dorawski — skarbnik, Jan K. Petecki — gospodarz i mg. Stanisław Groński — bibljotekarz. Koło nawiąże łączność z Oddziałem Krakowskim PTT. Spośród członków Klubu należy do Koła 59, w tem 8 członków honorowych Klubu.

O dalszą ekspansję alpinistyczną.

Zarząd Klubu już na swem posiedzeniu z dnia 11 listopada 1935 r. uchwalił organizować i dążyć do wysłania jednej wyprawy egzotycznej i jednej wyprawy treningowej poza Tatry. O ile chodzi o wyprawę odkrywczą, projektował Zarząd pierwotnie wyprawę na Pamiry. Jednakże, z przyczyn od Klubu niezależnych, musiał ze swego zamiaru zrezygnować. Wobec tego powrócono do zeszłorocznego projektu wyprawy w Taurus («Taternik» XIX, 195) i rozpoczęto pełną akcję przygotowawczą, której trudności były niestety niemniejsze niż w roku ub. Ostatecznie w końcu marca b. r. zawiadomiła Klub Ambasada Turecka w Warszawie, że władze tureckie odmawiają jednak wyprawie prawa wstępu w teren górski. Jak z innych źródeł Klub poinformowano, zwiedzaniu alpinistycznemu Taurusu, jako leżącemu w t. zw. «strefie zakazanej», sprzeciwiły się tureckie władze wojskowe.

Pomimo tej ponownej porażki, Zarząd Klubu podtrzymuje jednak swój zamiar wysłania z Polski jeszcze w b. r. wyprawy egzotycznej i przeprowadza obecnie nowe studja i badania nad wyznaczeniem celu, któryby wielkie wartości alpinistyczne i odkrywcze mógł połączyć z brakiem trudności politycznych i naszemi możliwościami finansowemi.

Wyprawę treningową postanowiono zorganizować w Alpy Austrjackie. Jej przygotowanie znajduje się również w pełnym toku.

Zatwierdzenie Statutu Klubu.

W dniu 5 marca b. r. został Zarząd Klubu powiadomiony telefonicznie przez Starostwo Grodzkie Warszawa-Śródmieście, że Statut Klubu, złożony w temże Starostwie do legalizacji w dniu 20 grudnia 1935 r., został zatwierdzony i zapisany w aktach Starostwa pod Nr. II/7/815.

Skład Zarządu Klubu.

Pełny skład Zarządu Klubu przedstawia się obecnie jak następuje: Prof. Dr Marjan Sokołowski — prezes, Dr Jan K. Dorawski — I wiceprezes, Justyn Wojsznis — II wiceprezes i skarbnik, Zdzisław Dąbrowski — sekretarz, Dr Tadeusz Bernadzikiewicz (referent prasy i wydawnictw), inż. Jakób Bujak i Jan A. Szczepański (redaktor «Taternika»)—członkowie Zarządu. Ponadto wchodzą do Zarządu, na mocy § 25 Statutu Klubu, inż. Stefan Bernadzikiewicz jako delegat Koła Warszawskiego oraz mgr Stanisław Groński jako delegat Koła Krakowskiego. W posiedzeniach Zarządu bierze nadto udział z głosem stanowczym mgr Władysław Krygowski, delegat Zarządu Głównego PTT (§ 25 Statutu Klubu).

[1]) Z galerji tej w parę chwil, i już bez wspinaczki, można wejść wprost na wspomnianą już przełęcz pomiędzy Skrajną a Środkową Nowoleśną Turnią.

Wybrany do Zarządu w Zakopanem, w dniu 22 września 1935 r., Wiktor Ostrowski pełnił aż do dnia 23 lutego b. r. obowiązki sekretarza, poczem ustąpił z Zarządu wskutek przeciążenia pracą. Zdz. Dąbrowski wszedł w jego miejsce drogą kooptacji. Pomiędzy październikiem a lutym w skład Zarządu wchodził nadto — w charakterze zastępcy sekretarza — inż. Maciej Zajączkowski, dokooptowany na to stanowisko do czasu wydelegowania przez Koło Warszawskie stałego delegata Koła do Zarządu Klubu.

Rozwój życia klubowego w Kole Warszawskiem i Krakowskiem.

Ściślejszy kontakt osobisty i życie klubowe wśród taterników warszawskich istniały do czasu powstania Koła Warszawskiego K. W. P. T. T. prawie wyłącznie w gronie młodszej generacji wysokogórców, skupionych w dawnem K. W. O. W. P. T. T. To też dopiero w dniu 15 marca b. r., na pierwszem towarzyskiem zebraniu członków Koła w staroświeckiej gospodzie Fukiera na warszawskiem Starem Mieście — po raz pierwszy na grucie warszawskim spotkały się w ścisłem gronie wysokogórskiem wszystkie generacje warszawskich taterników i alpinistów. We wzajemnych przemówieniach podkreślano, że mimo pozornie decydujących różnic między «pokoleniami górskiemi», różne generacje wysokogórców mówią z jednakowego u wszystkich umiłowania gór wysokich i jednakowej radości czynu górskiego. W serdecznym nastroju przegawędzono przy «lampce wina» 3 godziny. — Starania o odrodzenie i rozwój współżycia towarzyskiego członków Klubu podjęto również w Kole Krakowskiem, a to zapomocą «herbatek dyskusyjnych», z których dotychczas odbyły się dwie. O pierwszej z nich wspomina bież. zesz. «Taternika», str. 113, drugą, w dniu 31 marca b. r., zagaił dr Włodzimierz Marcinkowski uwagami na temat społecznych wartości taternictwa. Herbatki te będą kontynuowane.

Koło Warszawskie a Oddział Warszawski P. T. T.

Po przekształceniu się z końcem stycznia b. r. Koła Wysokogórskiego przy Oddz. Warsz. P. T. T. w Koło Warszawskie K. W. P. T. T., warszawska organizacja tafernicka utraciła formalnie swoje dotychczasowe uprawnienia, wynikające z należenia b. Koła Wysokogórskiego do Oddziału Warszawskiego P. T. T. Ponieważ jednak zarówno Zarząd Oddziału, jak w szczególności jego prezes p. Stanisław Osiecki, mają pełne zrozumienie dla celów i działalności środowiska wysokogórskiego, z początkiem marca b. r. Zarząd Oddziału przyznał Kołu Warszawskiemu takie same prawa, z jakich korzystało dawne Koło Wysokogórskie, m. in. prawo bezpłatnego korzystania z lokalu Oddziału. Wzamian za te udogodnienia Zarząd Koła Warszawskiego przejął na siebie obowiązek prowadzenia bibljoteki Oddziału, a w najbliższej przyszłości członkowie Koła rozwiną współpracę z Oddziałem na różnych odcinkach jego pracy, m. in. w akcji propagowania idej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wśród młodzieży.

Walne Zgromadzenie członków Oddziału, odbyte w dniu 26 marca b. r. wybrało nowy Zarząd Oddziału, z prezesem p. S. Osieckim na czele. W skład Zarządu weszła grupa 7-miu członków Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego P. T. T.

Przeniesienia w poczet członków zwyczajnych.

Na posiedzeniu w dniu 22 lutego b. r. Zarząd przeniósł w poczet członków zwyczajnych pp. dr. Zofję Kuleszynę i Zofję Wysocką, dotychczasowe członkinie uczestniczki Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego PTT.

Lista członków Klubu.

Uwzględniając wyrażane z wielu stron życzenia podajemy pełną listę Członków Klubu wedle stanu z dnia 31 marca 1936 r.:

I. KOŁO WARSZAWSKIE

A. Członkowie honorowi:

1. Chmielowski Janusz, inż., Katowice
2. Déry Josef Budapest (Węgry)
3. Komarnicki Gyula, dr., Budapest (Węgry)
4. Lewicki Adam, dr.,
5. Lory Pierre, Grenoble (Francja)
6. Maślanka Jerzy, inż., Warszawa
7. Tetmajer-Przerwa Kazimierz, Warszawa

B. Członkowie zwyczajni:

zamieszkali w Warszawie:

1. Bernadzikiewicz Stefan, inż.
2. Bernadzikiewicz Tadeusz, dr.
3. Bujak Jakób inż.
4. Bystroń Jan Stanisław, prof. dr.
5. Chwaścińska Hanna
6. Chwaściński Bolesław, inż.
7. Daszyński Stefan, inż.
8. Dąbrowski Zdzisław

9. Drewnowski Kazimierz, prof. inż.
10. Drojecka Róża
11. Dudryk Maksymiljan, inż.
12. Galicówna Zofja
13. Goetel Ferdynand
14. Hiszpański Stanisław
15. Humpola Jan, ks. dziekan
16. Janczewski Edward, dr.
17. Jankowski Józef, inż.
18. Jaroszyński Jan, inż.
19. Jenike Juljan, inż.
20. Karpiński Adam, inż.
21. Kornilowicz Tadeusz, płk.
22. Kręcki Wacław
23. Kuleszyna Zofja, dr.
24. Luxemburg Stanisław, mgr.
25. Mogilnicki Henryk Władysław
26. Narkiewicz-Jodko Konstanty, dr.
27. Ojrzyński Antoni
28. Orenburg Józef
29. Orłowski Witold
30. Osiecki Stanisław
31. Osiecki Stefan, inż.
32. Ostrowski Wiktor
33. Pierzchała Jerzy
34. Rostafiński Jan, prof. dr.
35. Roszkowski Wacław, prof. dr.
36. Rudnicki Janusz
37. Rzewnicki Jan, inż.
38. Schiele Aleksander, inż.
39. Siedlecki Stanisław
40. Sokołowski Jan
41. Sokołowski Marjan, prof. dr.
42. Stanecki Aleksander
43. Szydłowska Irena
44. Śliwińska Helena
45. Urban Edward
46. Wojsznis Justyn Tymon
47. Wysocka Zofja
48. Zajączkowski Maciej, inż.
49. Zaruski Marjusz, gen. bryg.
50. Znamięcki Aleksander (członek dożywotni b. Sekcji Turystyczn. PTT).
51. Żuławski Jerzy Wawrzyniec

zamieszkali poza Warszawą:

1. Bajer Czesław Józef, Łódź
2. Czeżowski Tadeusz, prof. dr., Wilno
3. Golcz Jerzy, inż., Strasbourg (Francja)
4. Hetper Zygmunt, inż., Poznań
5. Jakubski Antoni, prof. dr., Poznań
6. Krzemieński Bohdan, inż., Będzin
7. Lande Stefan, inż.
8. Makowski Stefan, Lwów
9. Matecki Józef, mjr. dypl.
10. Młodziejowski Jerzy, dr., Poznań
11. Niemierkiewicz Marjan, Gdynia
12. Ostrowski Tadeusz, prof. dr., Lwów
13. Pawłowski Tadeusz, Kraków
14. Sandmeer Stanisław, Łódź
15. Smoluchowski Wilhelm, Natolin k/Warszawy
16. Szelągowski Stanisław, Brzeziny k/Łodzi
17. Szymański Adolf, Puławy
18. Wyszyński Witold, inż., Paris (Francja)
19. Zalewski Antoni, Allenstein (Niemcy)
20. Zbyszewska Stanisława, Katowice
21. Żuławski Jacek, Paris (Francja)

C. Członkowie uczestnicy:

zamieszkali w Warszawie:

1. Biernawski Witold, inż.
2. Burawska Wanda
3. Franaszek Jerzy
4. Godlewska Zofja
5. Hryniewiecki Jerzy
6. Jędrzejewska Hanna, dr.
7. Kozłowski Władysław
8. Leszczyński Stefan, mgr.
9. Łaźniewski Mikołaj, inż.
10. Malicki Zasław, inż.
11. Miładowski Lucjan, mjr.
12. Ptakowska Halina, mgr.
13. Wesołowski Kornel, inż.
14. Wiśniewski Tadeusz, dr.

II. KOŁO KRAKOWSKIE

A. Członkowie honorowi:

1. Czerwiński Jan Wacław, inż., Kraków
2. Gadowski Walenty, ks. kan., Bochnia
3. Goetel Walery, prof. dr., Kraków
4. Klemensiewicz Zygmunt, prof. dr., Lwów
5. Komornicki Stefan, dr., Kraków
6. Kroebl Adam, dr., Tomaszów Lubelski
7. Nowicki Jan, dr., Kraków
8. Pawlikowski Jan Gwalbert, prof. dr., Lwów

B. Członkowie zwyczajni:

zamieszkali w Krakowie:

1. Anczyc Władysław, dr.
2. Czarkowska Zofja
3. Dorawski Jan Kazimierz, dr.
4. Faecher Stanisław
5. Fink Bronisław, inż.
6. Groński Stanisław, mgr.
7. Grosman Hugo
8. Janikowska Janina
9. Król Ignacy, prof.
10. Krygowski Władysław, mgr.
11. Lande Jerzy, prof.
12. Łaba Włodzimierz, dr.
13. Łukaszewicz Józef, prof.
14. Małachowski Bohdan

15. Marcinkowski Włodzimierz, dr.
16. Pawłowski Bogumił, dr.
17. Petecki Jan Kazimierz
18. Piotrowski Kazimierz, dr.
19. Romaniszyn Bronisław, mjr.
20. Sinkówna Krystyna, dr.
21. Sokołowski Adam, dr.
22. Świerz Witold
23. Szczepański Alfred
24. Szczepański Jan Alfred
25. Zakrzewski Wacław, dr.

zamieszkali poza Krakowem:

1. Beynarowicz Michał, dr., Lwów
2. Cybulski Jerzy, Kielce
3. Czermiński Adrjan, Warszawa
4. Czerny Zygmunt, prof. dr., Lwów
5. Czoponowski Jerzy, Katowice
6. Fink Henryk, dr., Tarnów
7. Garlicki Apolinary, Przemyśl
8. Gieszczykiewicz Stanisław, Toruń
9. Gorski Ludwik, dr., Gorlice
10. Hoffman Henryk, Starachowice
11. Janikowski Teofil, Zakopane (członek dożywotni b. Sekcji Turystycznej PTT)
12. Jarosz Stefan, dr., Wyspa Kościuszki na Oceanie Spokojnym
13. Kielpiński Tadeusz, dr., Paris (Francja)
14. Korowicz Marek Stanisław, dr., Katowice
15. Kozik Marjan, Zakopane
16. Krókowski Jerzy, dr., Dąbrowa Górnicza
17. Łomnicki Antoni, prof. dr., Lwów
18. Mischke Kazimierz, inż., Borysław
19. Passendorfer Edward, Siemianowice
20. Porębski Stanisław, Szopienice
21. Roszkówna Zofja, Lwów
22. Smoluchowski Tadeusz, prof. dr., Poznań
23. Świerz-Zaleski Tadeusz, Niedźwiedź k/Mszany Dolnej
24. Szatkowski Henryk, dr., Warszawa
25. Vogel Paweł, prof., Ostrowiec Kielecki
26. Zembatowa Julja, prof., Tarnowskie Góry

III. KOŁO ZAKOPIAŃSKIE

A. Członkowie zwyczajni:

zamieszkali w Zakopanem:

1. Firsoff Włodzimierz
2. Korosadowicz Zbigniew, mgr.
3. Leisten Zygmunt
4. Oppenheim Józef
5. Paryski Witold
6. Rittersschild Zdzisław
7. Roguska-Cybulska Jadwiga
8. Schiele Kazimierz, inż.
9. Służewski Stanisław
10. Zdyb Stanisław
11. Zwoliński Stefan
12. Zwoliński Tadeusz

zamieszkali poza Zakopanem:

1. Ustupski Jerzy, Kraków
2. Uznański Adam, Czudziec k/Rzeszowa
3. Zaremba Stanisław Krystyn, dr., Wilno

Ogółem Klub Wysokogórski PTT liczy 167 członków; w tem 15 członków honorowych, 138 członków zwyczajnych (w tem 2 członków dożywotnich dawn. Sekcji Turystycznej PTT) i 14 członków uczestników.

Zgłoszenia członków.
Stosownie do § 7 Statutu Klubu podajemy do wiadomości, że pp. dr. Roman Kuratow-Kuratowski (Warszawa), Władysław Midowicz (Schronisko na Babiej Górze) i Jan Staszel (Zakopane) wnieśli do Zarządu podania o przyjęcie ich w poczet członków zwyczajnych Klubu.

Stosownie do uchwały Zarządu Klubu z dnia 12. I. 1936 r., podajemy do wiadomości, że pp. Wanda Heniszówna, Adam Lankosz, Jadwiga Pierzchalanka i Jerzy Grabowski (Zakopane) wnieśli do Zarządu Koła Zakopiańskiego podania o przyjęcie ich w poczet członków uczestników Koła Zakopiańskiego Klubu Wysokogórskiego PTT., a p. Zbigniew Semerau-Siemianowski do Zarządu Koła Warszawskiego o przyjęcie go w poczet członków-uczestników tegoż Koła.

NOTATKI

Wyprawę na Pamiry przedsięwziął prywatnie w 1935 r. Wawrzyniec Saladin, jeden z najbardziej dziś ruchliwych alpinistów szwajcarskich, znawca Kaukazu i Andów. Uzyskawszy w Moskwie odpowiednie zezwolenie, stanął Saladin na czele osobnej alpinistyczno-naukowej wyprawy i w ciągu trzech miesięcy letnich wykonał szereg pięknych wejść w otoczeniu Lodowca Tamingen we wschodnim Pamirze (Łańcuch Turkestański) oraz w Transalaju. W szczególności dokonał Saladin ze swoimi rosyjskimi towarzyszami I wejść na szczyty, które nazwał: Pik Zinn 4700 m, Hockhorn 5060 m, Schneehorn 4123 m, Tamingen 4304 m, Gratberg 4976 m, Sattelhorn 4610 m i Schwarzhorn 4798 m, oraz przeszedł kilka wysokich przełęczy. Ponadto, w ramach wyprawy tej znani alpiniści rosyjscy bracia W. i Ż. Abałakow zdobyli Breithorn 5249 m i Mintage 5500 m. Głównym sukcesem wyprawy stało się pokonanie trudnego Pik Granit 5308 m (Saladin, Ż. Abałakow i dwaj towarzysze, dnia 11 sierpnia) oraz II w. na Pik Trapez 6100 m (Saladin i Vitale, dnia 15 sierpnia).

Trzy dziewicze szczyty, ok. 3600 m, 3550 m i 3600 m wys., zdobyli w masywie Petit Jorasses alpiniści włoscy w latach 1934 i 1935. Nazwali je Punta Guido Antoldi, Punta Corrado Alberico i Punta Luigi Borgna, na cześć trzech wybitnych alpinistów włoskich, zgasłych w alpach śmiercią górską.

Trzy wspaniałe problemy rozwiązano w Alpach Delfinackich w 1935 r.: p-na M. T. Dupont i E. Frendo pokonali w dniu 1 sierpnia pn. ścianę Tour Carrée de Roche Méane, J. Charignon, J. A. Morin i bracia G. i J. Vernet w dniach 10—12 sierpnia Grań Violettes na Pelvoux, wreszcie L. Devies i G. Gervasutti w dniach 30—31 sierpnia pd.-wsch. grań Pic Gaspard.

Odznaczenia alpinistów. Prof. Dr Walery Goetel, prezes PTT i b. dwukrotny prezes STPTT, otrzymał wielki srebrny medal *Société d'acclimatation de France* za zasługi na polu międzynarodowych prac na polu ochrony przyrody i tworzenia górskich parków narodowych. — *Médaille d'or de l'education physique* otrzymali P. Allain, C. Blanchard, L. Devies, R. Lambert i R. Leininger za swoje ostatnie zdobycze w Alpach.

Ferdynand Goetel, świetny pisarz i jeden z wybitnych członków Klubu Wysokogórskiego, został członkiem Akademji Literatury. Na uroczystem przyjęciu go do Akademji, b. słusznie podkreślił Karol Irzykowski, wygłaszający pochwałę działalności literackiej Goetla, znaczenie elementu taternickiego w życiu i twórczości nowego akademika.

Z PIŚMIENNICTWA

JÓZEF OPPENHEIM: Szlaki narciarskie Tatr Polskich. Nakładem Polskiego Związku Narciarskiego, Kraków 1936. Str. 112.

W ramach sześciotomowego «Przewodnika narciarskiego po Karpatach i Tatrach», zamierzonego przez P. Z. N., ukazał się najpierw (w 1934 r.) tomik III «Bieszczady» opracowany przez Z. Klemensiewicza. Obecnie wyszedł z druku najbardziej nas interesujący tomik VI, zawierający «Szlaki narciarskie Tatr Polskich i główne przejścia na południową stronę», a napisany przez J. Oppenheima.

Książka dzieli się na dwie części: uwag ogólnych o warunkach turystyki narciarskiej w Tatrach, oraz szczegółowego opisu głównych (razem 50) szlaków narciarskich. Naogół, trzeba stwierdzić, zostawia wrażenie — mieszane. Miejscami doskonała i napisana uroczo, gdzieindziej razi swoją swobodą, w przewodniku niebardzo na miejscu. Bezsprzecznie, jako typ przewodnika cofa się do błogich czasów ząbkowania tatrzańskiego przewodnictwa: decyduje o tem jej charakter gawędziarski.

Jeżeli jednak staniemy na stanowisku, że przewodnik ów, zapominając o zimowych przewodnikach Zaruskiego i Zwolińskiego («Taternik» VII, 117—120 i XX, 62—63) chce spełniać rolę *pionierską* i być przewodnikiem dla *przeciętnego ogółu* narciarzy (przewodnikiem *sui generis* ceperskim) musimy ocenić dodatnio zarówno wybór dróg, jak i drobiazgowość i popularny poziom opisu, jak wreszcie i wesołe podejście do tematu części pierwszej. Znajdą się może wówczas na miejscu takie powiedzenia jak «życie narciarza tatrzańskiego nie jest romansem», «mięśniem pośladkowym sromotnie śnieg pierze», «drugi kark skręca telepie nędzne ciało, niczem po łożu madejowem» — od których roi się przewodnik J. Oppenheima. Autor ma wspaniałe doświadczenie narciarskie i zna nawylot psychikę «braci narciarskiej». Należy mu więc wierzyć, że obrał ton właściwy. Tembardziej, że same pouczenia są bez zarzutu i oparte na całem doświadczeniu z zim tatrzańskich.

Poważniejsze zastrzeżenia zgłaszam do części drugiej. Formalne: autor używa określeń «żleb», «grządka», «narty ubrać», korzysta też z takich nazw jak «Żleb

Wściekłych Węży» lub «Żleb żandarmerji» (o biada!). Zasadnicze: dokonuje pomieszania geograficznego, najpierw opisując okolice Hali Gąsienicowej, później Pięciu Stawów i Morskiego Oka, później znowu Kościeliskiej, a na końcu przypominając sobie o Kondratowej. Z przejść na południową stronę opisuje tylko parę szlaków zachodnio- tatrzańskich, a pozatem jedną tylko Przełęcz pod Kopą. Same opisy są równie plastyczne jak obszerne. Pełno w nich takich uwag jak: «Przełęcz Liljowe... nabrała w oczach wielu narciarzy pozorów terenu zakazanego. Musimy obronić biedną Przełęcz» — lub «Na grani Czerwonych Wierchów nawet w słoneczne dnie wiosenne... panują czasem huraganowe wichury, zdolne zdmuchnąć w przepaść narciarza». Nic więc dziwnego, że np. opis przejścia przez Zawrat zajmuje 2½ stron petitu. Przypomina to trochę czasy śp. Eljasza, czemu się jednak trudno dziwić, zważywszy święte słowa autora, że «narciarstwo nasze jest naogół w tej chwili bardzo młode».

Dołączone do przewodnika szkice 11 najpopularniejszych dróg (wykonane przez art.-malarkę, W. Gentil-Tippenhauer) są dość schematyczne, ale powinny oddać wystarczające i dobre usługi. Robota redakcyjna wykazuje chwilami pośpiech («Radzimy jednak zbytnio ostatnich krzyków mody zbyt zapalczywie się nie trzymać»).

Potrzeba przewodnika w typie omówionym była niewątpliwa. O ile uznamy jego założenia, musimy też uznać jego pierwszorzędne wartości. *(jaszcz).*

TADEUSZ ZWOLIŃSKI: T a t r y. *Mapa turystyczna.* Podziałka 1:50.000. Książnica-Atlas, Lwów 1936.

Mapy Tadeusza Zwolińskiego mają cele i zadania turystyczne. Dlatego na plan drugi można odsunąć wszelkie pytania natury teoretycznej (np. czy jest szczególnie szczęśliwe odtwarzanie terenu skalnego nieprzyjemną żółtą barwą), a odrazu postawić zapytanie praktyczne: o ile nowa mapa odpowiada swemu przeznaczeniu?

Otóż pod tym względem nie waham się jej nazwać rewelacyjną. Wobec poprzednich map Zwolińskiego: «Tatr Polskich» (p. «Taternik» VII, 38—39) i «Tatr Wysokich» (p. «Taternik», XV, 54—55) stanowi dalszy ogromny postęp. P o r a z p i e r w s z y uzyskały tu wreszcie Tatry Zachodnie nowoczesny, bezbłędny i możliwie dokładny obraz kartograficzny. Treść mapy czyta się tu jak opis nieznanego terenu. Wieloletnia, systematyczna i pionierska działalność jej autora w zakresie badań topograficznych i toponomastycznych w Tatrach Zachodnich znalazła obecnie wyraz godny jego trudów. Nareszcie mamy mapę Tatr Zachodnich wolną od niedokładności i nawet jaskrawych błędów, po raz pierwszy ukazano nam całe ich bogactwo terenowe. Mapa jest doskonałą propagandą Tatr Zachodnich i spewnością spowoduje żywszy do nich napływ turystów polskich.

Oczywiście, o ile chodzi o Tatry Wysokie, sensacyj żadnych mapa już przynieść nie mogła. Tutaj też, w terenie skalnym, występują na jaw wady zbyt dużej podziałki. Tatry Wysokie wymagają podziałki 1:20.000 i takiej nowoczesnej, turystycznej i dokładnej mapy chcielibyśmy się jeszcze spodziewać od Tadeusza Zwolińskiego.

Usterki? braki mapy omawianej? Naturalnie, można je też wyszukać. W chwalebnem dążeniu do uwydatnienia wszystkich możliwych perci i ścieżek idzie autor w paru wypadkach zadaleko, gdy np. rysuje perć przez Niemiecką Drabinę i Miedziane Ławki lub perć przez Bystry Przechód. Żałować też można opuszczenia nazw takich szczytów jak Mały Młynarz, Stwolska Turnia, Warzęchowe Turnie, Ważecka Turnia, Zwalista Turnia i i., które mogły doskonale zmieścić się na mapie. Ale niedopatrzenia te nikną całkowicie i giną w porównaniu z zaletami i ogólną wartością mapy, która powinna się rychło znaleźć w rękach każdego turysty tatrzańskiego.

MIKOŁAJ GROŃSKIJ: B e l l a d o n n a. Z rosyjskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski. Linoryty Z. Waśniewskiego, przedmowa Jur. Iwaska. Bibljoteka Kameny, Nr. 6, Chełm Lubelski 1936. Str. 32.

Omówiony już w «Taterniku», XX. 112 mocny poemat alpinistyczny Grońskiego otrzymał obecnie bibljofilską szatę książkową. Na ostatniej karcie wydawnictwa, tłumacz, znany poeta, wyjaśnia trudności jakie mu nastręczały: forma poetycka i styl oryginału, którym w przekładzie postanowił być ściśle wierny. Nie wszędzie wybrnął zwycięsko z tych trudności. Ale naogół przekład jego jest wysokiej miary i słowa piewcy «Belladonny»: «Jam biedny: słowo skarb mój święty — istnienia karm i bytu treść. — Niech wiersz ten skalą testamentu — o bohaterstwie głosi wieść» — znajdują pełny wyraz. *m. s.*

KRÁSY SLOVENSKA. *Časopis venovaný turistike, sportu a jaskyniam.* Rocznik XIV. Nowy Smokowiec 1935. Str. 236+76 str. stałego dodatku V y s o k é T a t r y.

Organ słowackich Oddziałów Klubu Czeskosłowackich Turystów rozwija się stale i daje coraz pełniejszy obraz turystyki słowackiej. Należy też podkreślić troskę redaktorów — którymi są dr. L. Izák i A. Lutonský — o możliwie bogate ilustracyjne wyposażenie pisma. Uwagę naszą zwraca pojawianie się coraz większej

ilości tekstów wysokogórskich w rocznikach «Krás». W omawianym roczniku cały zesz. 7 poświęcony jest Tatrom: Jožo Šimko pisze tu «Nieĉo o našom horolezectve», R. Vosyka opisuje wycieczkę na Staroleśną, a J. Brandobur na Małą Wysoką. Poza tem kryptonim Alm. sygnuje opis I prz. pd.-wsch. ściany Zamarłej Turni (wraz z dobrą fotografją).

W innych zeszytach dr. J. Lipták i I. Houdek dyskutują obszernie na temat celu i wyniku znanej wędrówki Frölicha do Tatr w 1615 r.: ogólne wnioski opierają się na badaniach Kordysa. I. Houdek ogłasza również rzeczy p. t. «Narodná vychádzka na Kriváň roku 1884» oraz «Cisarska komisia v Tatrách roku 1751». W żywo napisanem wspomnieniu «Velikonoce ve Vysokých Tatrách» znajduje dr F. V. Kroutil ciepłe słowa dla ś. p. W. Birkenmajera. Wogóle warto podnieść miłe wrażenie, które czyni skrupulatność, z jaką «Krásy» śledzą polską literaturę fachowo-turystyczną (notatka Šimki o powstaniu Klubu Wysokogórskiego).

POLSKA PRASOWA BIBLJOGRAFJA WYSOKOGÓRSKA ZA ROK 1935. W o wiele większym stopniu niż w r. ub. («Taternik», XIX, 187) musimy zaznaczyć, że podane poniżej zestawienie zawiera tylko niektóre pozycje, a to te, które udało się nam dorywczo zebrać. O jakimkolwiek systematycznem kompletowaniu tekstów wysokogórskich z prasy codziennej dotychczas bowiem nie pomyślano. A tekstów tych jest rokrocznie b. dużo, nie mówiąc już o pokrewnych artykułach np. z zakresu idei ochrony przyrody górskiej, które już na tem miejscu pomijamy całkowicie.

1. Alpinizm. Najwięcej pisano, rzecz prosta, o wyprawie w Kaukaz. Dwa spóźnione wspomnienia andyjskie («Zdobycie Alma-Negra» i «Lodowiec Polaków») ogłosił J. K. Dorawski w «I. K. C.» z 15. XI. i 30. XII. Zdobycze polskiego alpinizmu w ostatnich pięciu latach omówiła J. Roguska-Cybulska («Kurjer Warszawski» z 20. XI.). Liczne wspomnienia z Alp ogłaszał, w «I. K. C.» i «Polsce Zachodniej», Z. Grabowski. Ponadto b. wiele artykułów, streszczających zdobycze alpinizmu zarówno egzotycznego jak sportowego, drukował w «I. K. C.» W. Firsoff (W. Axy), a w «I. K. C.» i w «Polsce Zachodniej» J. A. Szczepański. Firsoff zamieścił nawet w «I. K. C.» (z 30. VIII.) obszerny «Zarys penetracji Himalajów». J. A. Szczepański ogłosił pozatem: «Największe problemy alpinizmu światowego» («I. K. C.» z 15. II.), «O organizacji polskich wypraw egzotycznych» («Polska Zachodnia» z 23. V.) i «O przyszłość wypraw egzotycznych» («I. K. C.» z 6. XII.). — Osobno zasługują tu na uwagę recenzje z nowych książek alpinistycznych polskich. Była ich znaczna ilość, cytujemy kilka: W. Sieroszewski «Epopeja zdobywczego wysiłku» («Tygodnik Illustrowany» z 10. XI.), J. Janowski «Wyprawa w Andy» («Czas» z 4. XII.), Z. Grabowski «Spojrzenie turysty» («I. K. C.» z 22. XI.), A. Czermiński «Wyprawa po egzotyk», «Napuszona propaganda» i «W śniegach i słońcu Afryki» («Czas» z 24. V., 18. X. i 27. XI.). — Przeciw alpinizmowi występowało gwałtownie «Słowo» wileńskie z 10. XI. i 4. oraz 8. XII. Odpowiedzieli na absurdalne zarzuty J. Pierzchała («Kurjer Poranny» z 29. XI.) i J. A. Szczepański («Czas» z 12. XII.).

2. Taternictwo. Wspomnienia taternickie ogłosili w omawianym okresie: Z. Korosadowicz («Zimowy atak na północną ścianę Mięguszowieckiego Szczytu», «I. K. C.» z 25. I.) W. Ostrowski («Smoczy Szczyt», «Gazeta Polska» z 19. V.) i J. A. Szczepański («Niezapomniane dni» i «Człowiek ujarzmia przyrodę» w «Gazecie Polskiej» z 23. I. i 15. XII. oraz «Jesienne wspomnienie z Tatr» i «Czarna i biała noc» w «Polsce Zachodniej» z 7. XI. i 25. XII.). Ponadto J. Roguska-Cybulska poświęciła wspomnienie M. i L. Skotnicównym («Kurjer Warszawski» z 28. X.), a M. Babiński wydrukował impresję z Roztoki («Głos Narodu» z 9. IX.). Sezony taternickie omawiał jak corocznie, J. A. Szczepański («I. K. C.» z 3. V. i 25. X., «Przegląd Sportowy» z 4. V., «Polska Zachodnia» z 9. V., «Raz Dwa Trzy» z 1. X., «Turysta w Polsce»). Tenże przypomniał również dzieje pd. ściany Zamarłej Turni, w ćwierćwiecze jej zdobycia («I. K. C.» z 26. VII., «Polska Zachodnia» z 30. VII.). «Turystykę, taternictwo i katastrofy górskie» omówił w «Czasie» z 11. VIII. Z. Leśnodorski.

Pozatem niektóre inne pozycje osobno zanotował już «Taternik», XIX, 212 oraz XX, 64, 103, 110, 111 i 112.

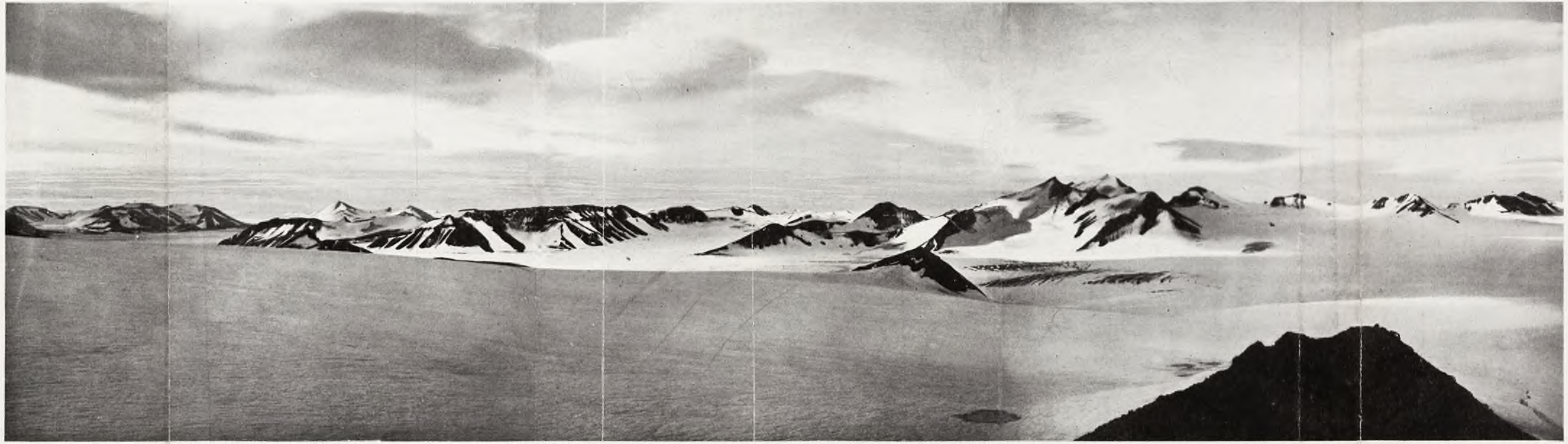
Wydawca: Klub Wysokogórski P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



Fot. S. Z. Różycki

PANORAMA CZOŁA
LODOWCA FINSTERWALDERA
dnia 28 lipca 1934



PANORAMA GÓR PIŁSUDSKIEGO
OD STRONY LODOWCA BEZ NAZWY
(zdjęcie z 12-go stanowiska fotogrametrycznego)
dnia 2 sierpnia 1934 r. godz. 3
Fot. mjr. A. Zawadzki

WYDAWNICTWA
KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia za pośrednictwem Administracji
«TATERNIKA»

	Zł.
TATERNIK, roczniki 1907, 1908, 1909 i 1911	wyczerpane
Do nabycia pojedyńcze zeszyty:	
Nr. 3 i 6 z 1907 r. Nr. 4—6 z 1908 r. Nr. 1 oraz 3—6 z 1909 r. po	4·—
TATERNIK, rocznik 1910	20·—
— — 1912	20·—
— — 1913 wraz z 2-ma zeszytami rocznika 1914	12·—
— 5 zeszytów za lata 1915—1927	10·—
— roczniki 1928 i 1929 po	4·—
— rocznik 1930	5·—
— rocznik 1931	6·—
— zwyczajne zeszyty pojedyńcze roczników 1929—1935 po	1·—
— zeszyty specjalne i podwójne po	1·50

KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne, wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej PTT., str. XII + 82 + 1 knlb. + 26 tablic (w tem jedna rotograwjura i 6 światłodruków), tylko dla członków Klubu	7·—
cena egzemplarza brosz.	10·—
II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII + 192; mała 8-ka, opr.	2·—
— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA, Szkic. Osobne odbicie z ‹Taternika› 1909, str. 17	1·—
— ŁOMNICA. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931	5·—
— ADRAR N'DEREN. Polska wyprawa alpinistyczna w Wysoki Atlas. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe, Kraków 1935	1·50
— MIECZYSŁAW ŚWIERZ. Ku czci człowieka gór. Praca zbiorowa, w 350 egzemplarzach numerowanych. Kraków 1933	1·50
— NOWE DROGI W TATRACH WYSOKICH. Przewodnik perjodyczny. Zeszyt I. Grupa Lodowego Szczytu. Warszawa 1931 (odbito na powielaczu)	wyczerpane
Zeszyt 2. Od Wsch. Żelaznych Wrót do Polskiego Grzebienia. Warszawa 1932	1·50

Nakładem Drukarni Narodowej w Krakowie:

III. CHMIELOWSKI JANUSZ i ŚWIERZ MIECZYSŁAW: TATRY WYSOKIE, I. Część ogólna. — Doliny. 4 knlb. + str. 118

IV. — II. Przełęcze i szczyty (od Liljowego po Wagę), str. VIII+178

V. — III. Przełęcze i szczyty (od Wagi po Lodową Przełęcz), 2 knlb. + str. 176.

VI. — IV. Przełęcze i szczyty (od Lodowej Przełęczy po Przełęcz pod Kopą), str. VIII+100

Całość 15·— zł. tylko dla członków Klubu

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 gr.